№ 14 Warszawa, dnia 27 Marca (8 Kwietnia) 1882 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

JUBILEUSZ
Józefa Bohdana Zaleskiego.

Pośpieszam wam donieść o przebiegu uroczystości jubileuszowej naszego wieszcza B. Zaleskiego. Uroczystość ta była wspaniałą. Otrzymałam dla jubilata mnóstwo adresów ze Lwowa i Krakowa. Polacy z Warszawy i Petersburga przysłali listę nazwisk. Z obcych miast przysłały adresa: Rzym, Neapol, Florencya, Monachium, Wiedeń, Berlin, Londyn, Würzburg, Dublin, wyspa Jersey, Rapperswyl, Genewa.

Nie umiem doprawdy wyjść z podziwienia, jakim sposobem w przeciągu dwóch tygodni mogłam odebrać przeszło siedm tysięcy podpisów! Wymowne to świadectwo, o ile imię Bohdana czczone jest w kraju naszym.

Pierwszą myśl manifestacyi powzięłam dopiero w początku marca. Widząc, że cały objaw tutejszy ograniczył się tylko na adresie od Towarzystwa historyczno-literackiego, postanowiłam uderzyć w dzwon słabą moją ręką i oto dźwięk tego dzwonu rozległ się w mgnieniu oka po wszystkich miejscach, gdziekolwiek przebywają Polacy.

Nie moja w tem zasługa, ale raczej Bohdana, który umiał porwać wszystkie serca ziomków że go zrozumieć i uczcić umieli.

A teraz opowiem w kilku słowach, jak się rzecz odbyła w dniu 19 marca. Dzień był prześliczny, prawdziwie wiosenny; słońce świeciło, żadną nie przyćmione chmurką. Wyjechaliśmy w samo południe w liczbie kilkunastu osób do Villepreux, wioski położonej za Wersalem, w pięknej i wesołej okolicy. Zabraliśmy garstkę dzieci, aby dać poznać Bohdanowi, że pamięć jego przejdzie na przyszłe pokolenie, co też doskonale zrozumiał. O godzinie 1-ej byliśmy na miejscu. Z wielką radością ujrzałam Bohdana Zaleskiego w jak najlepszem zdrowiu. Cera jego biała i świeża, lekki rumieniec ślicznie odbija obok siwych włosów i długiej do pasa brody. Barki jego wcale niepochylone. Chodzi żwawo, lekko, skarży się tylko na przytępiony słuch, a bardziej na zachodzące mgłą oczy. Gdyby nie to, niktby nie odgadł w nim lat ośmdziesięciu. Pamięć zachował wyborną, wielką świeżość i sposób wysłowienia się płynny, łatwy, prawie młodzieńczy.

Otoczyliśmy kołem Jubilata, wtedy podałam ogromne album młodemu Ludwikowi Góreckiemu: „Niechaj wnuk Mickiewicza — rzekłam — złoży u stóp Bohdana hołdy zebrane od wszystkich Polaków.”

To połączenie dwóch drogich narodowi imion, głęboko poruszyło obecnych i wycisnęło łzy z oczu solenizanta.

Pierwsza karta w albumie, wykonana akwarelą przez pannę Rakowską, przedstawiała wieniec z kłosów, przetykany paprocią, macierzanką, bławatkami i garstką stepowych burzanów. Adresa z różnych stron ułożone były w osobne koperty ze stosownemi napisami.

Później odczytałam śliczny wiersz A. E. Odyńca, w którym przedstawia Jubilatowi grono sto dwudziestu panienek warszawskich, w zamian za Rusałki, które Bohdan przyniósł mu niegdyś do zbiorowego pisma „Melitele”. Bohdan rad był z pomysłu.

— Edward zawsze ten sam, — rzekł — zawsze goni za panienkami, jak to było przed pięćdziesięciu laty!

Z tego powodu opowiadał nam zebrania w kółku przyjaciół w Warszawie przy ulicy Długiej i Freta. Wspominał każdego z druhów tak miłych jego sercu: Brodzińskiego, Stefana Witwickiego, Mochnackich, a z których jedyny tylko Odyniec żyje dotąd. Wtedy pokazałam mu pismo przyjaciela i odczytałam wiersz jego, przysłany też na moje ręce, który do głębi poruszył Bohdana.

— Czyż ja zasłużyłem na takie hołdy narodowe — mówił do mnie z prostotą. Nie moja w tem zasługa, że Bóg pozwolił mi urodzić się w czasach, kiedy prąd poezyi powiał nad krajem naszym i potrącił też o mnie.

Piękny adres posłów poznańskich ogromne sprawił wrażenie, równie jak adres włościan z okolicy Śremu; podpisanych jest 112.

Kilka godzin ubiegło nam, jak sen, o zachodzie słońca pożegnaliśmy jubilata. Był to w życiu mojem jeden z tych dni promienistych, których pamięć nie zaciera się w duszy.

Seweryna Duchińska.

PIOSNKA.

Po lazurowej fali,
Płynie mej pieśni nuta,
Żar słońca jej nie spali,
Nie dotknie woń zepsuta;
Gdzie ożywcze powietrze,
Nie strute jadem pleśni,
Tam nuta mojej pieśni,
W porannym płynie wietrze.

Leci na listku róży
Swobodna lecz ostrożna,
Tam gdzie jej nie zachmurzy,
Niewiary myśl bezbożna,

Gdzie szyderstwa podmuchy
Milkną przed serca władzą,
W tę stronę czyste duchy,
Piosenkę mą prowadzą,
Goni pierś świętym zapałem,
W imię prawdy wybucha,
Gdzie człowiek gardząc ciałem,
Ku niebu wznosi ducha,
Gdzie powiew wiatru zimny,
Omija kwiaty świeże,
Gdzie brzmią dla Stwórcy hymny,
W głębokiej czci i wierze,
Gdzie przyświeca widocznie
Miłości gwiazda święta,
O tam nigdy nie spocznie,
Piosnka w życie zaklęta!

Emilia.

Radoszewice.

NA MORZU.

NOWELLA

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

VII.

Minęło lato, na horyzoncie Europy zawisła jedna z pięknych jesieni, jakiej zazdroszczą nam ci, którzy u siebie wieczną mają wiosnę. W takiej to jesieni zapełniają się Włochy wesołymi turystami, którzy snują się jak chmury po wsiach i miastach, aby cobądź obaczyć i za to dobrze zapłacić. Tego szczęścia dostępują zazwyczaj miasta w gorących dniach niebardzo zdrowe. Do nich przeważnie należy piękna Wenecya. *La bella Venezia* pozbywa się wtedy swoich nieubłaganych komarów, owej niemiłej woni zgnilizny, która od lagun zachodzi a przedewszystkiem owych prostopadłych promieni słońca, które zazwyczaj na oczy turystów tak zgubny wpływ wywierają.

Właśnie nastąpiła dla Wenecyi ta dobra pora. Tysiące cudzoziemców zaległo plac św. Marka a drugie tyle pływało na gondolach, po wodnych ulicach tego dziwnego miasta.

Uważne oko spektatora mogło łatwo rozpoznać, do jakiej kategoryi należeli ci lub owi turyści. Starsi wiekiem siedzieli spokojnie przy wysuniętych przed kawiarniami stolikach i z pewnym rozkosznym spokojem przypatrywali się bizantyjskiej facyacie św. Marka. Dla małoletnich nieoceniona była wieża zegarowa; na szczycie której czernił się dzwon olbrzymi i stali dwaj murzyni wybijający młotami naprzemiany godziny i kwadranse. Na dzieci sprawiały wrażenie niemałe liczne stada gołębi. Były one tak poufałe jak każdy Włoch prawowity i z niemałą natrętnością żądały zapłaty za to wszystko, co tylko na placu św. Marka ujrzeć było można, wliczając w to i owe konie spiżowe Nerona, które raz z Rzymu wykradzione tyle razy przez zwycięzców były odkradane! Dzisiaj służą one na facyacie św. Marka gołębiom legendowym za wyborne miejsce spoczynku, które spuszczają się z nich chmurą na małych turystów, płacących im daninę pszenicą lub kukurudzą.

Najciekawsza kategorya turystów, do jakich nowożeńcy lub kochankowie należą, zaludnia liczne gondole, które jak czarne ptaki snują się po lagunach. W takich gondolach mieszczą się nieraz całe dramata i powieści a obojętny gondolier nie wie prawie nigdy, jaki w swojej gondoli wiezie rozdział tych utworów beletrystycznych.

Wenecya była właśnie w pełni swego jesiennego sezonu. Do ożywienia tej pięknej królowej morza przyczyniała się niemało trupa operetkowa, która w jednym z drugorzędnych teatrów dawała codzienne widowiska. Tanie ceny miejsc zgromadzały co wieczora bardzo liczną publiczność. Między nią widział cudzoziemski turysta i tych, którzy we dnie mu posługiwali, nie odstraszało to jednak nikogo od teatru, przeciwnie spieszono do tej świątyni sztuki, w której zbierali się reprezentanci całej nadmorskiej ludności. Był to widok ciekawy oraz malowniczy, bo błędny turysta miał tutaj w skupieniu to wszystko, czego pałace Wenecyi i odległe zaułki dostarczyć mogły.

Zazwyczaj jest Włoch u siebie bardzo swobodny, nie krępują go żadne ustawy towarzyskie. Chodzi, mówi, gestykuluje i siedzi jak najwygodniej. Sąsiad, którego nie zna nie obchodzi go wcale, a gdy jeszcze za to, co widzi, zapłaci, wtedy swoboda jego nie ma już żadnych granic. Najwyraźniej występuje ona na widowiskach publicznych drugiego rzędu. Kuglarz na *Riva degli Schiavoni* spotyka doraźną krytykę swoich sztuczek. Słyszy albo śmiech zadowolenia albo czuje pociski zgniłych pomarańcz. W teatrze dzieje się to samo; zachrypnięta *prima donna* bywa natychmiast wygwizdana przy pierwszych tonach, a gdy się okaże uporczywą, spada na nią grad zgniłych cytrych i pomarańcz. Czasami jest zacne audytoryum litościwsze i niewprawnemu tenorowi pomaga chórem do odśpiewania aryi dla niego trudnej, poczem następuje burza oklasków i śmiech homeryczny gorszy dla biednego artysty od zgniłych pomarańcz.

Taki właśnie wypadek spotkał trupę operetkową. Zapowiedziała ona *Piękną Helenę*, ale Kalchas niefortunny okazał się zaraz przy pierwszej aryi niemożliwym. Wygwizdano go i zakrzyczano *Impresario* był w rozpaczy. Co robić? Czy narazić Kalchasa na nowe pociski, czy przedstawienie zawiesić? Wyratował go z tego położenia jakiś nieznany człowiek. Z tłumu widzów podniósł się nagle do góry jak duch Banka i zawołał głosem dźwięcznym:

— Obywatelu *Impresario!* Pozwól mi wejść w szaty kapłańskie nieboszczyka Kalchasa a Parys będzie miał jeszcze dzisiaj w swojej gondoli piękną Helenę!

Podobało się to zacnym spektatorom i okrzyk jednogłośny mianował nieznanego bohatera arcykapłanem greckim. Zgodził się na to impresario, za dziesięć minut rozpoczęło się na nowo widowisko a nowy Kalchas śpiewał z taką wprawą i takim ferworem, że wszystkich wprawił w zdziwienie. Nazajutrz miejscowe dzienniki podniosły nowy talent swojski, a uszczęśliwiony impresario nie mógł nastarczyć biletów, chociaż ich już dwa razy tyle nafabrykował, ile pomieścić mogła obszerna sala świątyni. Zapał, z jakim nieznanego artystę witano, zwiększył się jeszcze bardziej, gdy się dowiedziano, że bohaterem dnia jest... skromny odźwierny „Narodowego hotelu", czyli gospody trzeciorzędnej, a republikanie weneccy wyprawili mu nawet okazałą owacyą.

Zdarzenie to miejscowe nie uszło także uwagi turystów, a jaki taki cisnął się do bramy teatru Rossiniego, aby hotelowego artystę słyszeć i podziwiać.

Było to właśnie w tym czasie, świeżo po zapisaniu tego faktu do kroniki miasta, gdy do hotelu *Luna* przypłynęły w gondoli dwie damy. Służba hotelowa wyroiła się na ich przyjęcie, rozebrała kufry i torby i zaprowadziła nową zdobycz do apartamentów pierwszopiętrowych. Rozmówiwszy się o ceny apartamentów, jadła i usługi, pożegnały damy służbę i usiadły na aksamitnych fotelach, aby po morskiej podróży wypocząć. Z okna widziały jeszcze dymiący komin okrętu, który je przywiózł do pięknej królowej morza.

Były one blade i zmęczone. Podróż nocna a może i choroba morska zaostrzyły rysy ich twarzy. Starsza osobliwie czuła się widocznie podupadłą na siłach. Miała na sobie dzikiego koloru *robe de voyage* misternie ubraną szkocką materyą. Spłowiałe włosy nakrywał szeroki ryżowy kapelusz z błękitną woalką. Ciasny bucik wysuwał się z pod gęstych falban a prawdziwe duńskie rękawiczki osłaniały drobne arystokratyczne rączki. Na twarzy malowała się pewna ospałość i owa *stanchezza* włoskiego poety, która wzdychać mu każe za odpoczynkiem... w Bogu.

Młodsza turystka była więcej ożywioną i złote jej włosy plątały się w pewnym poetycznym nieładzie po białych skroniach a mocno szklące oczy patrzały z gorączką przed siebie. Miała suknię szarego jednostajnego koloru, na którą zarzuciła od niechcenia lekki aksamitny paletocik. Patrzała właśnie na błękitny dymek snujący się po nad okrętem, który przywiózł do Eldorado wszystkich tych co marzą i kochają.

— Czy słyszałaś, Adelo — ozwała się starsza dama, co ten głupi Włoch nam za pokoiki zaśpiewał? To rzeczywiście jest zdzierstwo nieladа. Trzeba go zawołać i potargować się jeszcze...

— Nie wypada, ciociu, odparła nasza znajoma.

— Przecież pan Szymon mówił nam, że we Włoszech o wszystko targować się trzeba.

— Za cóżby nas mieli, gdyby tak robić?

Zapewnie słuszny był ten argument, jeżeli pani Izabela na to nic nie odpowiedziała. Nastąpiło milczenie, podczas którego obie nasze turystki puściły wodze wyobraźni swojej i zdawały się gonić jakieś miłe i niemiłe wspomnienia podróży.

— Ciekawa rzecz — przerwała milczenie pani Izabela — czy go tutaj spotkamy.

— Kogo? zapytała machinalnie Adela.

— No — tego hrabiego, co to w Padwie zwiedzał z nami freski Giotta w tej opuszczonej kapliczce.

— Wcale o tem nie myślę!

— Zdawało mi się, żeś go słuchała z pewnem zajęciem, żeś była dla niego...

— Ludzi dobrze mówiących słucha się zawsze z pewnem zajęciem.

— Bukiet, który ci dał przy odjeździe...

— Lubiłam zawsze żółte róże.

— I te słowa pożegnalne...

— Zapłacone podobnemi słowami.

Nastąpiło znowu milczenie.

— Czego się nie rozbierasz? zapytała po chwili ciocia.

— Chcę trochę wypocząć — odparła Adela.

— Może byśmy wyszły na miasto?

— Będzie jeszcze czas na to!

Tak powitały nasze turystki piękną Wenecyę.

VIII.

Kilka tygodni upłynęło od tego czasu. Turystki nasze wżyły się już zupełnie w zwyczaje i oby-

czaje wszystkich innych „turystów, którzy pyszną królowę Adryatyku zwiedzają. Z czerwoną książką pod pachą lub w towarzystwie gadatliwego *cicerone* chodziły od kościoła do kościoła, od pałacu do pałacu. Oglądały muzea i galerye, zeszły do podziemnego więzienia w *Palazzo ducale*, aby naocznie przypatrzeć się kamiennemu łożu, na którem sypiał spokojnie jeden z najznakomitszych członków arystokracyi weneckiej, zanim go o zdradę ojczyzny śmiercią nie ukarano.

Po takich wędrówkach morzem i lądem odpoczywano na peronie kawiarni Floryana, w której zgromadzali się zazwyczaj najznakomitsi turyści i mieszkańcy miasta. Prawdziwą zaś biesiadą był dopiero wieczór czyli raczej noc wenecka. Po pamiątkach historycznych i okazach muzealnych dostarczała ona znużonym turystom żywych, malowniczych obrazów, oświetlonych jaskrawem światłem gazu albo sinemi promieniami księżyca. Te obrazy były często dla wielu ponętniejsze od arcydzieł sztuki zawieszonych w posępnych muzeach. Na placu św. Marka wrzało wtedy życie, nastrojone do wysokich tonów. Gwar tysięcznej rzeszy mieszał się z melodyą muzyki, a z pod białych koronkowych chustek, malowniczo na czoło zwieszonych, błyszczały czarne oczy Wenecyanek i zdawały się szukać czegoś z namiętnem upragnieniem... Po marmurowej posadzce pod kolumnadą płynęła nieskończona rzeka przechodniów, którzy patrzali na siebie wzajem jakby na płatne jakie widowisko. Kryształowe szyby magazynów i kawiarń pozwalały bezpłatnie podziwiać to wszystko, co sztuka i natura miały najpiękniejszego. Filigranowe złote roboty, błyszczące artystycznie klejnoty ubiegały się tutaj o pierwszeństwo z błyskotliwemi oczami Wenecyanek, które pochylone nad filiżanką czekolady zdawały się na nikogo nie patrzeć a jednak wszystkich widziały.

Nasze turystki miały podczas takiego wieczora jedno z uprzywilejowanych miejsc przed kawiarnią Floryana. Siedziały na czerwonej aksamitnej kanapie a na małym stoliku z kararyjskiego marmuru stały przed niemi przybory herbaciane. Rozmawiały z sobą lub przypatrywały się pismom illustrowanym, a od czasu do czasu patrzały na przechodniów, jakby między nimi kogoś szukały. Przechodnie zatrzymywali się także często przed tym stolikiem i zwyczajem miejscowym wlepiali oczy swoje w piękną twarz *forestierki*. Dla kobiety cywilizacyi zachodniej nie były te spojrzenia nader przyjemne, bo w nich nie mieściło się żadne wyższe uczucie piękna lub zachwytu, tylko malował się pewien interes niższej natury. To też pod takiemi spojrzeniami spuszczała mimowoli Adela oczy swoje na filiżankę z herbatą a lekki rumieniec wstydu okraszał jej twarz bladą. Rumieniec ten zachęcał tem więcej przypadkowych adoratorów do spojrzeń wyzywających, a były między niemi i takie, na które czoło i szyja Adeli oblekały się szkarłatem.

— Coś dziwnego jest w tych spojrzeniach — ozwała się raz do pani Izabeli — jest w nich tyle impertynencyi i jakiejś nieprzyzwoitości, która może oburzyć.

— To już leży w charakterze tego narodu — odparła pani Izabela. — Gdyśmy z panią Eulalią były w Neapolu, spotykałyśmy zawsze i wszędzie dwóch młodych, przystojnych mężczyzn, którzy nas widocznie prześladowali. Patrzali ciągle tak uporczywie na nas, aż się nam słabo robiło. Gdy pani Eulalii to już za wiele było a nawet na impertynencyą zakrawało, zwróciła się do nich z zapytaniem, czego żądają. „Waszych wdzięków, piękne forestyerki!" odparł jeden i obaj zaczęli się śmiać tak głośno i tak dziwne przytem stroili miny, żeśmy od nich czemprędzej uciekać musiały.

— Cóż to byli za ludzie? — zapytała Adela.

— Powiedziano nam, że jeden z nich nazywał się hr. Berberini a drugi był markizem de la Rocca.

— To być nie może... To byli jacyś samozwańcy!

— Niekoniecznie... Włosi są zazwyczaj bardzo swobodni w objawach swoich wrażeń.

Gdy pani Izabela te słowa wymawiała, ciemny rumieniec okrył twarz Adeli. Delikatne jej uszko zasłyszało w tej chwili za otwartą szybą kawiarni jakiś głos męzki, który był jej znajomy. Odwróciła się do tej szyby i ujrzała szerokie barki mężczyzny, który siedział zwrócony do nich plecyma.

— Cóż hrabio — ozwał się jego towarzysz — *hai trovato la bionda*... Czy znalazłeś swoją blondynkę?

Adela szybko pochyliła twarz nad filiżanką już próżną.

— Jestem dotąd Jazonem na pełnem morzu — odparł zapytany — a zamiast złotego runa, widzę w koło siebie same bałwany!

— Spodziewam się, że tych zbyt obrazowych wyrazów nie stosujesz do obecnego swego otoczenia.

— Mówiąc to, nie patrzałem wcale na ciebie.

— Muszę się za to zemścić na tobie i w najpiękniejszej chwili twego życia... gdy po jakie złote runo według twego zwyczaju sięgać będziesz, przyślę ci twoją — żonę!

Adela poruszyła się niespokojnie na kanapie.

— Żona moja przyzwyczajona do tego. Była nawet o tem mowa między nami przed ślubem!

— Czy nadałeś jej równe prawa?

— W małżeństwie panuje prawo mocniejszego, a względnie prawo piękniejszej!

— Czy ta *bionda* twoja z kaplicy Giotta była rzeczywiście piękniejszą?

— Piękniejszą od fresca Giotty...

— Czy była trudną?

— Zdaje się, że jest bardzo łatwą.

W tej chwili jakiś mężczyzna z czarnym zarostem wszedł do kawiarni.

— *Ciao!* — rzekł do rozmawiających narzeczem weneckiem — a cóż to *Conte* Marino, znany amator blondynek, siedzi obrócony plecyma do bardzo pięknej blondynki.

Mężczyzna o szerokich barkach zwrócił się do szyby kryształowej.

— *Per dio!* — rzekł półgłosem — to ona! Nie przeszkadzajcie mi...

W tej chwili zadzwoniła Adela i zawołała:

— *Pagare!*

Garson zjawił się przed stolikiem.

— Co się należy? — zapytała.

— *Bon jour mesdames!* — zagadnął w tej chwili mężczyzna o szerokich barkach, siadając na stołku.

— *A!... A, monsieur le comte!* — odrzekła z radością pani Izabela, podając mu rękę do uścisku.

Adela zatrudniona wyjmowaniem pieniędzy z misternego woreczka, nie miała czasu do podania rączki hrabiemu.

Po zamianie kilku zwykłych frazesów, wstała, odzywając się do p. Izabeli, że czas już do domu. Znajomego hrabiego pożegnała sztywnym ukłonem.

— Powiedz mi moja Adelciu — zapytała pani Izabela gdy już była w hotelu, powiedz mi, dlaczego tak prędko odprawiłaś hrabiego?

— Byłam zmęczona i nieco znudzona — odpowiedziała Adela.

— Mówiłaś niedawno, że rozmowa z ludźmi umiejącymi rozmawiać sprawia ci wielką przyjemność...

— Nie zawsze — odparła zadąsana nieco Adela i zadzwoniła na służącą, aby przygotowała łóżka.

(D. c. n.)

Z PAMIĘTNIKÓW
Leandra Szyszeczki-Walskiego.

Spisane przez

Ludomira Szczerbowicza Wieczora.

(Dalszy ciąg.)

Z kolei wypada mi coś także powiedzieć o wychowaniu fizycznem. Regularnej gimnastyki wtedy nie znano; miejsce jej zastępował swobodny ruch na powietrzu wiejskiem, huśtawka w ogrodzie (zwana na Litwie „hojdawką"), jazda konna i kąpiele. Tych dwu ostatnich rozrywek mało zażywałem, z powodu słabości zdrowia od dzieciństwa. Dlatego też nie mogłem być „hartowany" na zimno, według panującej wtedy w niektórych domach mody, która wymagała, ażeby dzieci biegały po dworze, nawet w zimie, po śniegu, boso i z gołą głową. Nie stosowano do mnie tej metody, i zimę po większej części spędzałem w pokoju, a przytem nigdy nie ubierano mnie za ciepło i nie otulano do zbytku, co uważam za skuteczniejsze może od owego spartańskiego hartowania. Przynajmniej przekonałem się, że brat mój młodszy, szczególny ulubieniec dziadostwa i więcej przez nich niż przez rodziców wychowywany, będąc mocniejszej kompleksyi, hartował się dowoli, a jednak później zdrowiem nie celował. Ubierano nas jak najlżej i najprościej: w „sukienki" czyli bluzki płócienkowe w lecie, a wełniane w zimie i w takież ubranie spodnie; zresztą nic zgoła na szyję, żadnych wełnianych kaftanów, ani szalików, ani kaloszy (rzecz wtedy wogóle, nawet u dorosłych, mało znana). Na zimę wystarczał płaszczyk sukienny z peleryną, dosyć lekko watowany; w takim płaszczu chodziłem i później, do szkół uczęszczając, w najsilniejsze mrozy i do gimnazyum i do kościoła, a pomimo chorowitości, zdrowie moje krzepiło się i poprawiało widocznie, aż do 20 roku życia. Dużo tu zapewne znaczy potężna siła żywotna młodości, ale wiele zapewne także tryb życia i wychowanie: porównanie to mimowoli nasuwa się każdemu, kto widzi dzisiejszą dziatwę i młodzież otulającą się w futra, obwiązaną szalikami, nie będącą w stanie dać kilka kroków po błocie bez kaloszy...

W wychowaniu naszem nie było rygoru spartańskiego, ale nie było też wyrafinowanych wygódek i od dzieciństwa przywykliśmy uważać wszelkie wymagania fizyczne za rzecz podrzędniejszą, którą byle jak zaspokoić należy. Tyczyło się to i snu i pościeli i jadła: żadne z nas nie było śpio-

chem; woleliśmy owszem nie kłaść się jak najdłużej, aby rozmawiać lub czytać i trzeba było nas do snu zapędzać, a sypialiśmy regularnie od 10-ej do 7-ej.

Pościel była niewykwintna: sypialiśmy na sianie, z jedną poduszką pod głowę, a o istnieniu kołder watowanych nie wiedzieliśmy wcale.

Co do jadła, przywykliśmy uważać posiłek niejako za przymusową pańszczyznę, którą jak najprędzej i najobojętniej załatwiać należy; napędzano więc nieraz nas i do jedzenia; chociaż nie powiem, ażebyśmy nie lubili niektórych przysmaków i łakoci, ale starsi zawsze przestrzegali oszczędnego i umiarkowanego ich używania.

* * *

Na zakończenie — słów kilka o igraszkach i zabawach dziecięcych. Jeżeli w czem, to tu najbardziej objawia się pociąg do wszechstronnego naśladowania osób starszych i wogóle wszelkich zajęć, o których czytało się lub słyszało. Nie było więc zgoła żadnego zajęcia, żadnej profesyi, którejbyśmy w igraszkach nie naśladowali.

Oprócz więc pospolitych zabaw w konika, w żołnierzy, naśladowaliśmy zajęcia wiejskie, kosząc siano i zwożąc je kotką, zaprzężoną do drucianej podstawki od żelazka; zapisywaliśmy recepty, puszczali krew blaszanemi lancetami i urządzali apteki; bawiliśmy się w lekcye i szkołę, zakładali sklepy i stajnie. Do tej ostatniej zabawy wchodziła spora doza fantazyi i nieco skłonności satyrycznych: rolę bowiem koni odegrywały stare kłódki i „zamki wiszące" (tak zwano na Litwie kłódki *płaskie*) — żelazne oznaczały konie kare, mosiężne zaś — gniade. Postawione na jednym z boków i zaprzężone nitkami do jakiego koszyczka lub starej blaszki, owe kłódki wiozły jakiego „pana" lub „panią", a czasem księdza proboszcza lub wikarego. Panów i panie oznaczały zwykle albo figurki ołowiane albo klocki drewniane; czasem tylko fantazya dziecięca uznała za stosowniejsze rolę starej pani C. nadać połamanej i szczerbatej, a grubej i pękatej, mocno zardzewiałej kłódce, a starą piłkę gumową uważać za panią K., słynną z otyłości. Księży oznaczały zawsze szklane korki od karafek, mające kształt grzybów, węższym końcem do góry obrócone: wyobraźnia dziecięca uznała widać szkło za odpowiedni symbol dostojeństwa duchownego, a w kształcie samej „zatyczki" upatrywała podobieństwo do długiej sukni księżej i wysokiego kapelusza.

Bawiliśmy się także w rysunki, zamazując niemiłosiernie papier, i w muzykę, wystrugując skrzypki i smyczki; ale z największem zamiłowaniem, najdłużej i niemal na seryo ja i brat młodszy bawiliśmy się w urządzanie ołtarzy i odprawianie mszy. Mieliśmy do tego wszystkie konieczne przyrządy, nieraz wcale niezłe imitacye prawdziwych, a w późniejszych latach, gdyśmy już do szkół chodzili, posiadaliśmy nawet komże, miewaliśmy opłatki i sporządzaliśmy mszał, zawierający wszystkie modlitwy łacińskie, zawarte w mszale kościelnym. Zresztą i bez tego każdy uczeń musiał wówczas umieć na pamięć całą ministranturę, a niejeden przytem umiał i odpowiednie modlitwy kapłańskie. Wspominam tu o tem głównie dlatego, że z pociągu dziecinnego najczęściej niepodobna wnosić o powołaniu i o przyszłej profesyi: z nastaniem wieku młodzieńczego, zabawa w ołtarze ustała i żaden z nas nie czuł powołania do stanu duchownego, żaden nie został księdzem.

Bawiliśmy się także w utwory piśmienne, najczęściej naukowe, a także i w pisanie wierszy, oczywiście nie mających żadnego sensu. Co do utworów piśmiennych, były to naśladowania znanych nam podręczników szkolnych do nauki history, geografii i t. d., ale treści fantastycznej, a mianowicie, pod wpływem Myszeidy Krasickiego i innych w tym rodzaju utworów, pisaliśmy całe zeszyty fantastycznych dziejów, geografii, a nawet kodeksów prawnych królestw kocich, mysich i żabich. Ten był najwcześniejszy objaw twórczej fantazyi, w formie naukowej i naśladowniczej.

Nakoniec muszę wspomnieć o jednej jeszcze igraszce, która zależała na przekręcaniu języka ojczystego, czyli raczej, na wytworzeniu zeń nowego.

Dziś, gdy dzieci tak źle mówią po polsku, a rodzice nie chcą lub nie mogą ich poprawiać, podobna igraszka byłaby niewątpliwie naganną i szkodliwą, ale nam jakoś nie zaszkodziła, chociaż i rozmawialiśmy tym swoim językiem i pisywaliśmy i układaliśmy nawet systematyczne gramatyki. Istotę tego dziecinnego utworu stanowiła przekładnia głosek: wyrazy jednozgłoskowe przewracaliśmy na wspak np. *nap* zamiast *pan*, *kar* zamiast *rak*, a inne przekręcaliśmy, według nie wiem już jakiej instynktewej zasady, tak, aby najgładziej można je było wymówić, najczęściej zachowując dawne zakończenia. Tak np. zamiast *krowa* mówiliśmy *wokra*, *ojciec* brzmiało po naszemu *cojjec* i t. d. W mowie tej ja i brat młodszy doszliśmy do takiej wprawy i biegłości, że słuchający naszej rozmowy nie mogli jej naprędce zrozumieć, chociaż piśmienne nasze utwory w tym języku, jako dające więcej czasu do rozwagi, przez każdego z łatwością mogły być odgadnięte. Wspominam tu o tej igraszce dlatego, że zdaniem mojem, nietylko dodziła ona pociągu do lingwistyki, nietylko ćwiczyła umysł w pewnej bystrości, ale nawet—rzecz napozór dziwna — przyczyniła się do gruntownego przyswojenia gramatyki języka ojczystego, do utrwalenia w pamięci wszystkich odmian i końcówek, które przerabialiśmy na swoje kopyto. Prostą jest bowiem i logiczną prawdą, że *przerabianie* czegobądź i w jakibądź sposób dopomaga koniecznie do poznania *przerabianego materyału* lub *przedmiotu*. Nadto, w języku naszym nagromadziło się mnóstwo wyrazów i odmian nieforemnych, które zawdzięczały swój początek okolicznościom czysto przypadkowym: to przychodziło mi nieraz na pamięć w czasach późniejszych, rzucając nawet nieco światła na zawiłą kwestyą powstawania w języku zakończeń i wyrazów całkiem nieprawidłowych i wyjątkowych.

Zakończę uwagą o wesołości dziecięcej. Myśmy wogóle byli bardziej poważni niż weseli i psotni (co już, tu na końcu, po przeczytaniu całego rozdziału, może nie wyda się dziwnem czytelnikowi), a chowani chociaż nie w grozie, ale w rozumnym rygorze, niezawsze ośmielaliśmy się chichotać i hałasować; ale bywały chwile, gdy koniecznie chciało się uśmiać i wyśmiać.

Wtedy, zgromadziwszy się w kółko, sadziliśmy się na śmieszne koncepta i historyjki, albo też wziąwszy jaką książkę, wyszukiwaliśmy w niej wyrazów śmiesznych czyli jak mawialiśmy, „śmieszących"; najczęściej przeglądaliśmy wykazy alfabetyczne nazw geograficznych i podchwytując z nich dziwniejsze przekręcając lub wynajdując w lot zabawne podobieństwa do pewnego wyrazu, wybuchaliśmy głośnym i serdecznym śmiechem, a trwało to nieraz po całych godzinach. Takto wesołość stanowi nieodłączną od natury dziecięcej konieczność psychiczną, a objaw tej wesołości — śmiech, może nawet jest dla dziecka, podobnie jak płacz, koniecznością fizyologiczną.

Na tem kończę wspomnienia o wychowaniu przedszkolnem, które może tu i owdzie zainteresują czytelnika, nie ze względu na osobę piszącego, lecz z pobudek pedagogicznych, jak to już na początku wyraziłem.

(D. c. n.)

KONIK POLNY U MRÓWEK.

Komedya w jednym akcie,

przez

ERNESTA LEGOUVÉ i EU. LABICHE

członków akademii francuzkiej.

Przekład **Seweryny D.**

(Dalszy ciąg.)

SCENA VI.

Ciż sami, Chameroy.

Chameroy. Oto weksel pański.

Paweł. Oto pieniądze.

Chameroy. Bardzo dobrze! O! przebacz pan — jest tu pomyłka... procent...

Paweł. Procent był jak sądzę pięć od sta.

Chameroy. Tak jest, — pięć od sta na rok! a że pan mi płaci o trzy miesiące naprzód, powinienem zwrócić mu dwieście franków.

Paweł. Ależ panie — to moja wina jeśli...

Chameroy. Przebacz pan, ja nie jestem lichwiarzem...

Paweł. W rzeczy samej i jabym tak postąpił, gdybym miał odbierać pieniądze. Przyjmuję więc po prostu, co mi pan z taką prostotą ofiaruje... pozwól pan tylko, niech mu uścisnę rękę.

Chameroy. Jak najchętniej... (Na stronie.) Cóż to za miły chłopiec!

Paweł (na stronie). Jakaż to zacna rodzina! (Kłaniając się.) Żegnam panie! (Zabiera się do wyjścia.)

Pani Chameroy (zatrzymując go). Chwilę jeszcze, chciej się pan zatrzymać! (Do męża.) Pan zna bardzo dobrze pana Verac!

Chameroy (żywo). Czy tak?

Pani Chameroy. Mówiono mu wiele o rodzinie, z którą pan Verac ma zamiar się połączyć.

Chameroy. Ha!

Pani Chameroy. Powiedziano mu, że ojciec prostak, matka skąpa, a panienka trochę niezgrabna?

Chameroy (żywo). Kto śmiał powiedzieć o córce mojej, że niezgrabna?

Paweł (pomieszany). Jakto?... a więc to państwo... Ja nie mówiłem... że... ależ to zdrada!

Pani Chameroy. Wcale nie! pan nam wielką czyni przysługę.

Paweł (żywo). Ależ nie pan Verac mówił mi o tem... Dosyć mi widzieć to co widzę, aby osądzić całą niedorzeczność podobnego zarzutu. Ileżbym cierpiał na tem, gdyby słowa moje miały rozerwać związek tak...

Chameroy. Przeciwnie, liczę na pana, że związek ten przyjdzie do skutku.

Paweł. Racz pan wytłomaczyć to lepiej.

Chameroy. Czy pan wie czemu pan Verac waha się dotąd? Nie dlatego żem prostak, spojrzyj

pan na mnie! nie dlatego że córka moja niezgrabna, wszak ją pan widzisz... nie dlatego że żona moja skąpa... Oszczędną jest, przyznaję, lubi ściskać pieniądz...

Pani Chameroy. Ja... ściskać pieniądz!

Chameroy. Ale skąpą nie jest bynajmniej. Co nam zarzucają! oto żeśmy podobni do mrówek, że zbieramy a nie umiemy wydawać. Ja przecież nie zjadam pieniędzy. Zobaczmy! bądź pan sędzią w tej sprawie.

Paweł. Ja?

Chameroy. Tak, nieinaczej—pan jesteś młody, jesteś przyjacielem pana Verac — wiesz najlepiej...

Paweł (śmiejąc się). Usuwam się od sądu drogi panie! O mój Boże! gdybyś pan wiedział do kogo się udajesz! To zupełnie jakby mrówka zasięgała rady u konika polnego!

Chameroy. Ależ...

Paweł (śmiejąc się). Pan zadrżałbyś z przerażenia, gdybyś wiedział kto jestem, com uczynił.

Chameroy. I cóżeś pan uczynił?

Paweł. Oto przez sześć lat roztrwoniłem majątek przynoszący sto tysięcy dochodu.

Chameroy. Sto tysięcy — to procent od dwóch milionów.

Paweł. Tak, nieinaczej.

Pani Chameroy. I niktże nie stawił przeszkody?

Paweł. Nie miałem już rodziców.

Chameroy. Mówisz pan ze śmiechem o tak wielkiem nieszczęściu.

Paweł. I cóż tu płacz pomoże? Przez lat sześć bawiłem się po królewsku! Nic sobie nie odmawiałem, i niczego też nie żałuję.

Chameroy. Ale jakżeś pan mógł wydać dwa miliony?

Paweł. To nie tak trudno jak się zdaje! Co mnie zgubiło? oto miłość piękna, a prawdziwe piękno bardzo wiele kosztuje!

Pani Chameroy (do córki). Przynieś mi dziecię robotę krzyżową.

Paweł (do pani Chameroy). O! nie lękaj się pani: Ja tu mówię o pięknych obrazach, o pięknych rzeźbach, wspaniałych ucztach i polowaniach. Stół zawsze otwarty, i worek też otwarty, pożyczałem tu i tam — rozdałem też trochę. Niech mnie Bóg strzeże, abym chciał odgrywać tu rolę św. Wincentego a Paulo, sądzę jednak, że nie spotkałem nigdy poczciwego człowieka w kłopocie, bez podania mu ręki.

Chameroy. Zaszedłeś pan za daleko!... teraz zubożałeś sam, straciłeś niepodległość...

Paweł (żywo). Ja nie zależę od nikogo... i nic od nikogo nie żądam. Zważ pan dobrze... będąc bogatym nie miałem wcale dumy, ale odkąd zubożałem, rzecz inna!... Mogłem być podobnym do konika polnego, dopóki śpiewa latem, ale zimą gdy żebrze... nigdy!

Pani Chameroy. No i jakże pan sobie radzi?

Chameroy (ukazując krzesło). Powiedz-że pan, co czynisz teraz?

Paweł (siadając wesoło). Skoro to państwa obchodzi, wyznam bez ogródki całą prawdę. Gdym wydał ostatni tysiąc franków, zatrzymałem się, obejrzałem. Trzeba było sprzedać moje zbiory i sprzęty. To mi przyniosło 220,000 fr.

Chameroy. Po odtrąceniu kosztów?

Paweł. Tak jest na czysto. Wtedy ustanowiłem najściślejszy budżet. Opuściłem mój lokal, mieszkam w hotelu: mam pokój za pięć franków, śniadanie i obiad za dziewięć, co czyni 14 franków dziennie — to jest 5,040 franków na rok. Pozostaje mi..

Chameroy. Do 6,000 franków.

Paweł. Tak jest, i to mi zapewnia przyzwoite stanowisko w świecie Raz na rok zmieniam ubranie, lecz biorę u pierwszego krawca. Palę jedno cygaro na dzień, lecz prawdziwe hawańskie. Nie mam koni, lecz mam za to parasol...

Chameroy. Zapewne bardzo piękny.

Paweł. Nieinaczej... Nie mogę sam być hojnym, lecz pobudzam drugich do hojności. Sam nie mogę kupować, lecz namawiam drugich do kupna. Ilekroć wystawiają na sprzedaż piękną kollekcyą dzieł sztuki, biegnę co żywo, licytuję najcelniejsze arcydzieła... Wreszcie obrałem sobie zawód...

Chameroy. Wybornie — jakiż to zawód pan wybrałeś?

Paweł. Założyłem biuro...

Chameroy. Biuro stręczeń?

Pani Chameroy. Doprawdy?

Paweł. Tak jest, stręczę bezpłatnie! moi pochlebcy, dopóki ich miałem, nazwali mnie artystą w wydawaniu pieniędzy. Teraz udzielam rady drugim. Jeśli który z przyjaciół moich urządza dom albo zakłada ogród, lub też nabywa zamek, przywołuje mnie zaraz... Ponieważ wiedzą że mam trochę gustu, spuszczają się na mnie, otwierają mi kredyt. Jestem jakby ministrem skarbu, wprowadzam w ruch pieniądze. A gdy w dniu jednym wydam sto tysięcy franków dla przyjaciela, usypiam zadowolony. Czuję się milionerem... *in partibus!*

Chameroy. Szczęśliwy los przysyła nam tu pana i my wezwiemy jego rady.

Paweł. Jakiej?

Chameroy. Nie umiemy wydawać, może nas pan nauczy...

Pani Chameroy. Tak jest, w interesie jego przyjaciela pana Verac.

Paweł. Ależ...

Henryeta. Pan tego nie odmówi, to przecież jego zawód.

Paweł. Dziwny zbieg... ale naprzód zobaczmy! (Do Chameroy.) Czy panu bardzo idzie o ten związek?

Chameroy. Nadzwyczajnie...

Pani Chameroy. I ja go także bardzo pragnę.

Paweł (do Henryety). A pani?

Henryeta. Raz tylko widziałam w teatrze pana Verac — wygląda bardzo przyzwoicie.

Paweł. Skoro tak, nie traćmy czasu — dalejże do dzieła. (Ogląda się wkoło.) Trzeba naprzód urządzić ten salonik.

Chameroy i Pani Chameroy. Ileż to może kosztować?

Paweł. Zobaczymy zaraz!... Co wyobraża ten zegar?

Chameroy. Ten brąz kosztuje ośmset franków: Maryusz na gruzach Kartaginy!

Paweł. Odesłać go trzeba do Kartaginy.

Henryeta. Tem lepiej! ja go tak zawsze nie lubiłam.

Paweł. Jeden z przyjaciół moich, ma śliczny model, chciałby go zbyć, umieścimy go na miejscu Maryusza.

Pani Chameroy. A cena?

Paweł. Nie wiem doprawdy—ależ to bagatela. (Przygląda się wkoło.) Co ja widzę?... pokrowce!... Trzeba je zdjąć... (Zdziera pokrowiec i kładzie go znów.) O nie! włóżmy napowrót. (Śmieje się.) Ha wybornie!... państwo zniszczyliście pokrowce, a pokrowce zniszczyły materye. Niewielka szkoda, zresztą — adamaszek stary i wypłowiały.

Pani Chameroy. Jakto stary! Kupowała go matka moja!

Paweł. Byłby ładniejszy i modniejszy, gdyby sięgał do czasów babki. Widziałem wczoraj śliczne meble, postawimy je tutaj.

Chameroy i Pani Chameroy. Ależ cena... cena!...

Paweł. Nie wiem, znajdą ją państwo na rachunku.

Pani Chameroy. Co? na rachunku?

Paweł. Ten papier wcale niepiękny — pokryjemy go makatą w liście.

Chameroy i Pani Chameroy. W liście!

Paweł. W miejscu tego stolika, umieścimy ładne bióreczko; te konsole dobrze wyglądają, trzeba tylko postawić na nich wazony z romańskiego fajansu z pięknemi roślinami. Będzie to salonik, istne cacko.

Pani Chameroy. Prawdziwe cacko!

Paweł (przyglądając się jeszcze). Tu można zawiesić żyrandol — obejdzie się zupełnie bez obrazów.

Chameroy i Pani Chameroy. Bez obrazów! tem lepiej...

Paweł. Ale na tej ścianie potrzebna koniecznie etażerka, a na niej artystyczne drobnostki: figurki z porcelany saskiej, antyki brązowe...

Pani Chameroy. Antyki!

Chameroy. Ależ co to razem wyniesie?

Paweł (śmiejąc się). Co wyniesie? Niktby nic nie kupił, gdyby wprzód myślał o tem co później wypadnie zapłacić.

Pani Chameroy. A jednakże... mniej więcej...

Paweł. Mniej więcej od dwudziestu pięciu do czterdziestu tysięcy franków.

Chameroy (z wybuchem). Niepodobna! aż tyle.

Paweł. Może trochę mniej — zobaczymy.

Pani Chameroy. Tak, trzeba będzie obejrzeć, wybrać, namyślić się.

Paweł. Co pani mówi? namyślać się, oglądać. (Patrzy na zegarek.) Sama dwunasta, o trzeciej wszystko musi być gotowe.

Chameroy i Pani Chameroy. Jakto? o trzeciej!

Paweł. Pan Verac ulega silnie wrażeniom, pierwszy rzut oka wiele u niego znaczy. Potrzeba, żeby wchodząc, znalazł ramy godne obrazu. (Wskazuje Heuryetę.) Zabieram się żywo do dzieła!

Chameroy (przerażony). Ależ panie!...

Paweł. Dam sobie radę; wprawny jestem w te rzeczy... Muszę napisać słówko... (Siada przy biórku.)

Chameroy. Oto papier i pióro.

SCENA VII.

Ciż sami, Służący.

Chameroy (do służącego). Cóż tam zaszło?

Służący. Przychodzę po odpowiedź na zapytanie wczorajsze.

Pani Chameroy. Jakie zapytanie?

Chameroy. Wiesz przecie... od tego towarzystwa pożyczki, na zakłady dla nowych kolonistów w Algierze.

Paweł (pisząc). Znam dobrze to towarzystwo.

Pani Chameroy. Co to jest?

Chameroy. Towarzystwo pożyczki, chce abym mu pożyczył pieniędzy.

Pani Chameroy (do służącego). Nie ma odpowiedzi.

Paweł (pisząc). Jakto? Państwo odmawiają? Cel przedsiębierstwa taki piękny, wszak to dla Alzatczyków!

Pani Chameroy. W takich przedsiębierstwach, mnóstwo ludzi macza zazwyczaj ręce.

Paweł (pisząc). Kto chce umiéć wydawać, musi być wspaniałomyślnym.

Henryeta. Mrówki tylko nie pożyczają...

Pani Chameroy. Tak — pożyczyć... pożyczyć!...

Henryeta. Mamo! tak jesteś dobra — tyle dajesz ubogim w Saint-Quantin!

Pani Chameroy. Oh! Saint-Quantin, to co innego, pożyczać a dawać rzecz inna. Pożyczka musi być korzystną... ale ci koloniści jakąż dają rękojmię?

Paweł (pisząc zawsze). Ich rękojmią praca i uczciwość.

Pani Chameroy. Niepewna hipoteka; szaleńcy tylko wdają się w takie interesa.

Paweł (wstając). Tak pani, szaleńcy! nie trzeba nimi gardzić!... Ci szaleńcy wierzą przynajmniej w coś, gotowi poświęcić się dla czegoś, pożyczają wtedy nawet gdy wiedzą że nie odbiorą swego, dają, nie licząc na wdzięczność! Nie wątpią o przyjaźni, o uczciwości ludzkiej!.. któż spełnił największe dzieła na świecie? Szaleńcy! męczennicy! bohaterowie! Dałby Bóg, abym mając sposobność poświęcić się dla drugich, zapomniał wszelkich praw roztropności, aby świat powiedział o mnie: to szaleniec!

Chameroy. Skoro tak, i ja będę szaleńcem!

Paweł. Wybornie! zacna dusza!

Chameroy (do córki). Idź, powiedz że jest mrówka gotowa podpisać na 3,000 franków.

Paweł (do Henryety). Racz pani dołączyć te 200 franków, na które wcale nie liczyłem.

Henryeta. Z całego serca! (Do pana Chameroy.) Jakżeś ty dobry papo! (Wychodzi.)

Paweł. A teraz dalej do dzieła, niewiele mamy czasu.

Henryeta (wracając). Rzecz załatwiona.

Paweł (ukazując listę). Trzeba rozesłać to na wszystkie strony.

Chameroy. Daj pan — ja rzecz załatwię! Mrówki! (Wychodzi.)

(D. n.)

ODCZYTY.

P. D-ra Henryka Dobrzyckiego „O suchotach i cywilizacyi". — P. Romana Plenkiewicza „O Brodzińskim".—P. Kalickiego „Kartka z dziejów XVI wieku, i p. Oskara Fabiana, profesora wszechnicy lwowskiej „O promienistej materyi".

Do szeregu prelekcyi, o których już w poprzednich numerach mówiliśmy, musimy zaliczyć jako więcej pożyteczne dwa odczyty D-ra Dobrzyckiego o suchotach i cywilizacyi. Prelegent przełożony zakładu leczniczego w Mien, dosyć dostępnie przedstawił nam okropną tę hydrę, która tak strasznie dziesiątkuje każde, a zwłaszcza wyżej ukształcone społeczeństwo! Po zbadaniu gruntownem okazało się, że najwięcej z braku świeżego powietrza i odpowiednich innych higienicznych warunków duże miasta najwięcej tracą ludzi ze swego grona, a pomiędzy niemi Warszawa przoduje. Smutne byłyby rezultaty z odczytów d-ra Dobrzyckiego, gdyby nie zakończył swojej prelekcyi ogólną uwagą, ze jeżeli nie ze wszystkiem suchoty są wyleczalne, to przynajmniej za staraniem lekarskiem można przedłużyć znacznie życie bez porównania większej części ludziom dotkniętym tą straszną chorobą.

I. p. R. Plenkiewicz wybrał sobie do odczytu także bardzo zajmujący przedmiot. Niezawodnie jedną z więcej wybitniejszych postaci w naszej literaturze, a szczególniej w historyi romantyzmu, jest niezawodnie Brodziński. P. Plenkiewicz skreśliwszy w kilku słowach jego życiorys, przeszedł do oceny dzieł tego dzielnego człowieka. W rzeczy samej, jedną może z najgłówniejszych zasług Brodzińskiego, jest zasługa na polu historyi literatury polskiej. Jego odczyty, wynik pierwszych lekcyi w konwikcie pijarskim na Żoliborzu, zkąd został wezwany na profesora do Liceum warszawskiego w 1821 r. i tam je uzupełnił, są pierwszym początkiem i pierwszą podwaliną do naszej historyi literatury. Czy jednak p. Plenkiewicz nie przecenił go na tym punkcie zbyt wiele, odmawiając pierwszeństwa Michałowi Wiszniewskiemu, który bądź co bądź pisząc swoją historyą więcej pracy w nią włożył i daleko jaśniej zarysował w stosunku do dziejów politycznych, niż to uczynił Brodziński. Krytyk nie powinien nigdy przeceniać zasług, a my od p. Plenkiewicza możemy tego wymagać, chociaż odnośnie co do pierwszej prelekcyi, niezaprzeczenie gruntowniej ona była pojętą i obrobioną, jak druga, gdzie sz. prelegent rozbierał utwory poetyczne Brodzińskiego! Na czele tych niezawodnie stoi owa piękna i urocza sielanka „Wiesław", którą najniesłuszniej p. Plenkiewicz, jako naśladownictwo Göthego „Hermana i Dorotei" uważał. „Wiesław" to rodzinne nasze dziecię—czysto polskie, a ów przypadek znalezienia sobie żony przez bohaterów jak jednego tak drugiego poematu, nie ma nic z sobą wspólnego. Ani jeden odcień ani jedno porównanie z utworu niemieckiego poety tu się nie znalazło i dlatego nie możemy ani na chwilę przypuszczać, aby „Wiesław" powstał pod wpływem „Hermana".

Szczęśliwsze zato było zaznaczenie stanowiska Brodzińskiego i porównanie go jako mentora romantyzmu z Lesingiem, a jako poetą z twórcą „Volkslieder" Janem-Gotfrydem-Herderem; chociaż i tu prelegent nie zaznaczył, ani nie wspomniał o Niemcewiczu i jego „Śpiewach historycznych", które już na wzór romantycznych ballad angielskich były tworzone i prędzej do romantyzmu jak do klassycznych utworów policzyć je można.

Dykcyą i piękną formą odznaczał się odczyt p. Bernarda Kalickiego literata ze Lwowa, który jako gość tym razem wystąpił po raz pierwszy w Warszawie. — Treścią odczytu była „Kartka z dziejów XVI wieku" a zatem najpiękniejsze i najciekawsze dzieje z oświaty ludów! Największe zmiany kołysały wtedy całym światem cywilizowanym. Feudalizm na zachodzie zaczął znacznie upadać. Każdy kto żył podnosił się i dźwigał; nowy porządek, nowy ustrój społeczny wywalczał sobie pole. Nawet ten uciśniony, wyzyskiwany i niesłychanie srogo przykuty do pana wieśniak niemiecki budzi się i targa kajdany, a pomimo niejednokrotnej klęski, upomina się dzielnie o swoje prawa.

Sztuki, architektura i nauka z nowym humanizmem odrodziły się znacznie, a władza dzielnych królów i wodzów zachwiała się niemało. Ale nawet potęga papieska—ta nigdy niezłamana, teraz znacznie osłabła... Ów mnich niemiec ogłaszający dziewięćdziesiąt pięć artykułów przeciw nadużyciom duchowieństwa, staje do walki i śmiertelne zadaje mu rany. W 1530 roku odbywa się ostatnia koronacya cesarza, którą dotąd dokonywali sami papieże; Karol V i Franciszek pierwszy walczą z sobą i krwawe staczają bitwy, o pierwszeństwo w panowaniu nad rozproszoną rzeszą...

Oto ogólne tło do obrazu, który nie jest jeszcze całkowicie przedstawiony. Tam na wschodzie, całej Europie grozi ogromne niebezpieczeństwo. Turcy dla całej Europy stają się strasznym postrachem. Darmo papież wzywa cesarzy, darmo sam zachęca do wypraw na pogan; w odpowiedzi potentaci urągają... sami tak potężni czegoż się lękać mają? Któż przez tyle wieków zasłaniał świat chrześciański od pogaństwa? Któż swoją krwią okupywał pokój Europie i papieżom? kto?...

Tam na wschodzie było państwo, którego syny nie w jedwabiach, nie w opiętym stroju, nie w miękkich fotelach się wychowywali, ale pod zimnym i dżystym klimatem a pod płowem pochmurnem niebem, na kulbakach twardych odprawiali harce z pogańskim synem. O narodzie tym różnie mówiono i obecnie różnie także mówią. Wpółbarbarzyński, koczujący, nie miał i nie ma podobno swojej odrębnej cywilizacyi, nie znał i nie zna piękna, nie uprawiał sztuk ani poezyi, słowem nie kochał się w niczem, co wzniosłe, co szlachetne i uczciwe... Wprawdzie pozostały mu z tych wieków pomniki, rzeźby i prace znakomitego i niezmordowanego Stwosza, ale ten Stwosz, to najoczywiściej był Niemcem! Żaden z tego plemienia nie wytworzyłby takich arcydzieł, wreszcie przypatrzcie się twarzom tych świętych, czyż te rysy są wzięte z natury tego ludu? Nie, to są twarze germańskie (ogólno gotyckie). Tam nie ma nic waszego, powiadają, próżno się więc do Stwosza przyznajecie!...

Ale patrzcie, tu z po za ozdób z po za ornamentu wytykają jakieś inne główki i zdaje się ze zdziwieniem patrzą na te sceny, na te święte widowiska... Twarze zupełnie odrębne, kostiumy nie niemieckie: czyjeż to są te lica? jakiej rasy, jakiego plemienia?

Na pośmiewisko jesteście tam wstawieni, krzyczą Niemcy, bo i wy i całe wasze plemię nie mogło wydać podobnych arcydzieł.

A Kopernik? I to nie Polak.

A nieśmiertelny Kochanowski, któremu równego w owym wieku ani Niemcy ani Włochy nie posiadały; — a kaplica Zygmuntowska na Wawelu czyż nie jest najpiękniejszym ówczesnym arcydziełem renesansu za Alpami? Widzimy więc, że ten który życie swoje przepędził w harcach i na koniu miał dosyć smaku i gustu, aby uwielbiać to, co piękne, miał dosyć siły, aby tworzyć nieśmiertelne arcydzieła, miał odpowiednie prawodawstwo, aby zaimponować drugim i pociągnąć siłą i prawdą sąsiednie, odrębne cywilizacyą Prusy do hołdu!...

Ale czemuż na tem przestało to państwo? pytają się nasi najukochańsi sąsiedzi, czemuż nie rozwinęło się dalej?

Historya dalszych wieków odpowie wam na to.

Otóż na tronie polskim zasiadł Batory, król silny i energiczny, który nie dlatego był królem, aby nosić płaszcz i koronę królewską, ale aby rządzić, a kiedy na sejmie sprzeciwiano się jego woli potrafił siłą i niezłomnym charakterem wszystkie przeciwności usunąć... Uśmierzył buntujący się Gdańsk, zabezpieczył się od innych nieprzyjaciół i zwrócił pilną uwagę na wschód. Tam poganin, co przez tyle wieków wylewał krew polską, co przez tyle wieków w płomienie zamieniał najpiękniejsze grody, co przez tyle wieków uwoził polskie dziewice na rynek Stambułu — tam ten nieprzyjaciel jeden spokojnie wyczekiwał chwili kiedyby ostatni cios zadać mógł Polsce... Ale król

dzielny zjednał sobie szacunek narodu. Sejmiki uchwaliły podatki, za które król miał urządzić piechotę. Wszystko składało się dobrze. Oczekując walnego sejmu, król wyjechał w grudniu do Grodna, i tam nagle zmarł... Zwycięztwo zostało w zawieszeniu... ale nie legło odłogiem. Polsce naznaczono było złamać potęgę wroga całej chrześciańskiej Europy, i złamał ją w kilkadziesiąt lat po nim Sobieski... Był to ostatni samodzielny odblask polskiego oręża!

Polski rycerz od niezliczonej nawały tureckiej, osłonił własną krwią ludy chrześciańskie a razem braci po wierze i cywilizacyi, jeżeli nie równych mu to przynajmniej starszych i dojrzalszych, spodziewając się że w razie potrzeby znajdzie tam przynajmniej sprawiedliwość.

Na polu fizyki wystąpił prof. Oskar Fabian z odczytem w którym zbijał Crooks'a twierdzenie, jakoby po nad materyą powietrza istniala jeszcze inna jakaś więcej lotna, a nazywana „promienistą". Twierdzenie swoje popierał doświadczeniami.

Wiktor Czajewski.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Kwietnia 1882 roku.

Jak zwykle w tej porze roku, tak i dziś posyłamy szczegółowy opis kapeluszy i innych strojów wywiezionych z Paryża przez panie Kuhnke. Odznaczają się wszystkie wytwornym smakiem i wiosenną świeżością. Rozmiar kapeluszy zupełnie jest dowolnym, niektóre mają wielkie ronda, inne znów tak małe, że nie odstają prawie od czoła; można je zatem łatwo zastosować do wzrostu, wieku lub upodobania każdej osoby. Do najmodniejszych należą kapotki z czarnej koronki albo blądyny, ubierane piórami lub też bukietem kwiatów. Wiele także widać słomkowych kapeluszy nagarnirowanych koronką szarą w niewarowym odcieniu.

Oto szereg pięknych kapeluszy, zakupionych na model w pierwszych magazynach paryzkich.

Kapotka z szarej blądyny, przepinana broszami z naśladowanych brylantów. Rondko niewielkie; w koło niego ciągnie się rzęd białych pereł.

Z lewego boku spada pióro strusie blado różowe, szarfy różowe, wązkie na trzy palce, podpinają się z prawego boku, na kokardę, ze spadającemi długo puklami. Szarfy te w górze od strony szyi, nagarnirowane blądyną szarą.

Druga kapotka z koronki szarej: z jednej strony między rondkiem a główką, wpięty wieniec z liści bluszczowych, w oliwkowym odcieniu, z drugiej bukiet róż, w kolorze blado koralowym. Szarfy tiulowe, dosyć szerokie, objęte szarą koronką, służą do związania pod brodą.

Trzecia kapotka także z szarej blądyny: na przodzie pod rondem, przeciągnięta plisa z aksamitu *caroubier*, a na niej dyadem z liści konwaliowych. Od główki na rondko rzucona szeroka blądyna szara, przytwierdzona w górze wielką broszą, do dyademu zaś przypięta złotemi szpileczkami. Także blądyna odrzucona na tył kapelusza, pokrywa warkocz, a przedłużając się po bokach, tworzy szerokie szarfy. Z boku wpięty bukiet z geranii w odcieniu blado koralowym.

Czwarty kapelusz ze słomy włoskiej, rondo ma naprzód wysunięte, podbite aksamitem zielonym, w taki sposób, że to podbicie, przynajmniej na dwa palce nie dochodzi do brzegu ronda. Główka cała aksamitna zielona. Z jednego boku pod rondem upięty wianek z sześciu róż blado różowych. Od główki spadają na przód dwa piórka strusie, w kolorze *maïs*, dwa drugie pióra zwrócone są do tyłu, w pośrodku węzeł z atłasowej wstążki *maïs*. Takież szarfy atłasowe służą do związania pod brodą.

Piąta kapotka ze słomy brukselskiej w szarym kolorze, ma rondko nagarnirowane, w fałdy aksamitem oliwkowym. Nad tem z jednej strony, upięty wieniec z liści bluszczowych, w różnych oliwkowych odcieniach, z drugiej wielki bukiet z róż i heliotropu. Szarfy z oliwkowej wstążki atłasowej.

Przejdźmy teraz do okrągłych kapeluszy; u tych główka zazwyczaj dosyć nizka, rondo szerokie, zwykle podpięte z boku. Jedna taka pasterka z czarnej słomki, podbita aksamitem czarnym: od główki, na rondo spada szeroka blądyna hiszpańska. Z boku podpięty pęczek strusich piór czarnych. Od tyłu spadają dwie szarfy z tiulu jedwabnego objęte blądyną, można przerzucić je z tyłu lub wiązać na piersiach, według woli.

Druga berżerka ze słomy włoskiej, rondo ma szerokie, główkę nizką, nad rądem wpięty wielki węzeł z szarej koronki; od tyłu bukiet z róż blado różowych, zmieszanych z pąsowemi maczkami, z pod tego wybiegają długie pukle ze wstążki atłasowej na trzy palce, w kolorze ciemno pąsowym.

Trzecia berżerka słomkowa szara, podszyta aksamitem czarnym; brzegiem ronda idzie rzęd pereł dżetowych. Między rondem a główką, przeciągnięta fantastycznie szarfa z tiulu szarego, ogarnirowana blądyną, spadającą na warkocz. Na główce wpięty bukiet z piór strusich, w naturalnym szarym odcieniu. Można z boku dodawać bukiecik z kwiatów, odpowiednich do koloru sukni.

Odkąd wyszły z użycia piramidalne fryzury, moda ubiorków na głowę coraz się bardziej upowszechnia. Szczerze przyklaskujemy tej modzie, gdyż bardzo ładnie dopełnia ubrania, i do każdej przypada twarzy. Uważaliśmy w zbiorze strojów pań Kuhnke śliczne ubiorki, które tu szczegółowo opiszemy.

Odznaczał się nowym gustem piękny czepeczek z blądyny szarej, nagarnirowanej lekko parę razy nad czołem. Z boku szła kokarda z wązkiej wstążki atłasowej w blado różowym kolorze, główkę zapełniały pukle z takiejże wstążeczki, spadające w kształcie wachlarza.

Do tego ubiorku, dodany był odpowiedni garnirunek na szyję. Z przodu spadała trzy razy blądyna szara, wązka na trzy palce; po bokach i w tyle szła tylko pojedyńczo. Blądyna ta przytwierdzona była do wstążki blado różowej atłasowej, związanej w tyle na kokardę z długiemi końcami, na przodzie między trzema rzędami blądyny, spadały pukielki ze wstążki.

Inny ubiorek na głowę, gipiurowy w odcieniu śmietankowym, miał nad czołem dyadem z pukielków ułożonych z błękitnej wstążki atłasowej. Garnirunek na szyję odpowiedni. Gipiura przepinana błękitnemi pukielkami, spadała trzy razy na piersi, w górze objęta wstążką, przechodziła do tyłu, związana tam na długą kokardę.

Takie naszyjniki bardzo dziś modne, zastępują miejsce krawatek i żabotów. Pod spód idzie wązka plisowana riuszka, lub też stojący płócienny kołnierzyk.

Wielkie kołnierze ciągle się utrzymują. Uważaliśmy jeden, złożony z dwóch wolantów szarych koronkowych, płasko nagarnirowanych jeden nad drugim, u szyi podwleczona wstążka blado różowa, łączyła się z przodu wielką kokardą.

Inny kołnierzyk złożony był z batystowego pasku, w odstępach szły podłużne dziurki, przewleczone wstążką morową błękitną, związaną z przodu na kokardę. Od tego paska spadała na dół gipiura, szeroka przynajmniej na ćwierć łokcia.

Uważaliśmy także ładną fryzkę z saskiej koronki, odwracaną na obie strony; środkiem przechodziła różowa wstążeczka atłasowa, związana w tyle na kokardę z końcami, z przodu spadały pukielki z takiejże wstążki.

Strojniejszy od tego kołnierz, miał wkoło szyi garnirunek z gipiury, przytwierdzony do wstążki, związany z tyłu. Z przodu szeroka gipiura odwrócona na obie strony, tworzyła jakby kamizelkę sięgającą do pasa. Od szyi dane były jedna pod drugą trzy kokardy ze wstążki błękitnej atłasowej.

Z sukien nabytych na model przez panie Kuhnke jednę dziś tylko opiszemy. Śliczna ta suknia prawdziwie letnia, z tkaniny wełnianej *voile*, w odcieniu śmietankowym, ma u dołu wązką falbankę koronkową szarą, podwleczoną atłasem *caroubier*. Nad tem idzie szeroki wolant śmietankowy, przemarszczony w górze kilka razy, nad wolantem znów koronkowa falbanka na atłasie, a nad nią drugi szeroki wolant. Zakończa go w górze draperya, ogarnirowana koronką szarą, przemarszczona z przodu w poprzecz i przepięta kokardą ze wstążki *caroubier* z długiemi końcami. Stanik do tego gładki. Na przodzie ułożona z gipiury szarej kamizelka podwleczona atłasem. Rękawy płaskie; u ręki odwinięta gipiura na atłasie *caroubier*.

Turniury odstające po bokach, powszechnie dziś przyjęte. Niektóre dzienniki mód zapowiadają powrót krynolin, ale dotąd jeszcze ich nie widać.

Kolor oliwkowy, w rozmaitych odcieniach, używany bardzo na suknie letnie. Tkaniny w drobną kratkę, tak jedwabne jak i wełniane stały się modą panującą.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Chrystus zmartwychwstał! powtarzają dzisiaj krocie tysięcy ust chrześciańskich. Chrystus zmartwychwstał! głoszą w świątyniach Pańskich a świat stroi się w świąteczne szaty ślubując miłość i braterstwo. Wymawiając te symboliczne słowa ocknienia się ducha całej ludzkości, chylimy w pokorze głowy, czując naszą maleńkość, znikomość i niedołęztwo. Niechże pamiętają o tem, hardzi przecenianiem swego rozumu, hardzi pychą swego stanowiska, hardzi posiadanem mieniem. Z tą pamięcią i pokorą tłumy warszawskiej publiczności napełniały świątynie odwiedzając grób Zbawiciela, z uroczystą powagą godną tak wielkiej pamiątki. Na obliczach wszystkich malowało się uczucie rzewne, poddanie się, ufność bez granic, jakby serca ich odrodzone czuły bijące tentna przekonania, że co z prochu powstało w proch się rozwieje, co z ducha w wieczności

uniesie się progi, że człowiek ciałem jest dziecięciem ziemi a duszą synem Bożym.

*** Przedstawienie widowiska dla dzieci, złożone z komedyjki p. Niemojowskiego, p. t. „Zaczarowana Magdusia", drukowanej w „Przyjacielu Dzieci" na korzyść tutejszego Towarzystwa Dobroczynności, powiodło się wybornie. Magdusia, przedstawiona przez młodziutką bardzo panienkę, była prawdziwą Magdusią w ruchach, w mowie, w każdem poruszeniu, a szczególniej w swobodzie, jakby artystka wytrawna, ze sceną należycie obeznana. Inne dwie równe jej wiekiem, role swe oddały ze zrozumieniem, a dwie jeszcze młodsze zaledwie ośmioletnie, śmiało i przytomnie znajdowały się w chwili, gdy na nie przyszło mówić. Równie interesującą była symfonia dziecinna Heidna, z towarzyszeniem bębenka, grzechotki, dzwonków, kukułki, przepiórki i chóralnego śpiewu ptaków. Wykonanie na fortepianie przez młodego artystę, było ze zrozumieniem ducha kompozycyi, z właściwą prostotą i uczuciem. Magiczne sztuki pana Siedleckiego rozpoczęły, a obrazy z żywych osób zakończyły widowisko. Sala cała była przepełnioną słuchaczami w przeważnej znacznie liczbie młodem pokoleniem rozpoczynając od lat kilku wieku życia.

*** We Lwowie odczyty na korzyść funduszu pomnika dla Mickiewicza, rozpoczęła Deotyma (panna Łuszczewska Jadwiga) odczytaniem poematu Wanda a nazajutrz Jadwigi. Na raucie urządzonym przez Koło Literackie na powitanie Deotymy, chór męzki odśpiewał kantatę rozpoczynającą się od słów:

O! witaj wieszczko nam natchniona,
Szlachetny kwiecie polskich cór!

Toworzystwo składało się z dam i mężczyzn stu kilkudziesięciu należących do najwykształceńszych sfer lwowskich. Na krótkie przemówienie jednego z członków Koła Deotyma odpowiedziała improwizacyą. Tym razem, wogóle arystokracya galicyjska starała się złożyć dowód, że tak samo jak inne warstwy społeczne umie cenić talent rodzimy. W ciągu wieczora wieszczka nasza była nad wszelki wyraz rozrzewniona, tak serdecznem przyjęciem obecnych jak i dźwiękami kapeli, wygrywającej rodzinne melodye. W odpowiedzi na improwizacyą Deotymy, p. Platon Kostecki odczytał piękny wiersz poświęcony poetce i zastosowany do myśli przez nią rozwiniętej w odczytach i improwizacyach okolicznościowych.

*** Odczyt we Lwowie na ten sam cel co Deotymy, przez posła czeskiego p. Emanuela Tonnera odbył się z równem powodzeniem d. 25 z. m. w pośród natłoku licznej bardzo publiczności. Prelegent mówił o upadku narodu czeskiego i podniesieniu się jego przez pracę, a powitany grzmiącemi oklaskami w te na trybunie odezwał się słowa:

Te oklaski cieszą mnie i smucą zarazem. Cieszą bo są dowodem waszej przyjaźni dla mego narodu, który dziś reprezentuję, a smucą, bo wątpię czy odpowiem waszem oczekiwaniom. Uważam że podjąłem zadanie nad moje siły, gdyż nie władam waszym językiem w tym stopniu, abym mógł was zadowolnić. Dlatego proszę o pobłażanie.

Po tym wstępie rozpoczął dr. Tonner właściwą prelekcyą, z której przekonaliśmy się, że włada doskonale językiem bratniego narodu, a wykład był prawdziwie świetny i pełen głębokich myśli. Streścił dzieje Czech od Libuszy i Przemysława, a zatrzymał uwagę naszą najdłużej nad szaloną germanizacyą narodu, która się rozpoczęła po klęsce na Białej Górze 1620 roku. Niedawne to czasy, w których się zdawało, że nieszczęśliwy naród słowiański nie podniesie się już z pod ciosów wymierzonych przez Teutonów. Nawet ci, ktorzy pracowali nad językiem czeskim, mniemali, że pełnią swój obowiązek jedynie, ale nie spodziewali się, że spełnienie go wyda tak piękne owoce. Nastąpiła charakterystyka czasów zdławienia do szczętu prawie żywiołu i języka słowiańskiego w Czechach i wyliczenie zasług i prac takich uczonych, jak Jungmann, Szafarzik i Palacky. Przy każdem z tych imion rozlegały się w sali gorące oklaski. Przedstawił dalej odrodzenie się Czech przez włościan, przez pracę i oświatę. „A wiecie panowie— dodał — jakim sposobem doszliśmy do takiej oświaty? Oto że nasi apostołowie nie byli deklamatorami i frazesowiczami, nie pisali dla ludu bajek, a nawet bardzo mało rozprawek historycznych, ale karmili lud odrazu rzeczami praktycznemi o rolnictwie, sadownictwie, pszczolnictwie lub rzemiosłach i łączyli tym sposobem naukę z celami narodowemi."

Końcowe ustępy prelekcyi były poświęcone przedstawieniu współczesnej pracy narodu czeskiego. Po odczycie dziękował jeden z członków czytelni akademickiej p. Tonnerowi za odczyt, a obecna w sali Deotyma, ofiarując prelegentowi bukiecik z bratków, zaimprowizowała:

„Niech droga do nas kwiatem ci się ściele!
Oto dłoń Polki przynosi ci kwiatki:
Skromniutkie one, ale mówią wiele,
Bo to są bratki.

„Niech będą godłem tej odwiecznej zgody,
Co się mgłą żadną, daj Boże, nie zaćmi,
Niech zaświadczają, że nasze narody
Są sobie braćmi."

*** Na pamiątkę dwóchsetnej rocznicy oblężenia Wiednia przez Turków, która jak wiadomo przypada w roku przyszłym, wydane zostaną dwa dzieła. Nad jednem z nich pracuje arcyksiążę Jan Salwator, i przedstawi w niem znaczenie historycznego faktu ze stanowiska nauki wojskowej. Drugie dzieło na wielką skalę z ilustracyami, które wyda znany historyk Klopp w Gradcu, — ma traktować oblężenie Wiednia jako wypadek ogromnej doniosłości w dziejach powszechnych. Ciekawe to będą prace, a dla nas Polaków podwójnie zajmujące.

*** O instytucyi wydawnictw ludowych „Macierzy Polskiej" której społeczeństwo nasze oczekuje z upragnieniem, podaje szczegóły dobrze poinformowana „Gazeta Lwowska".

„Celem instytucyi, która wkrótce już rozpocznie swą działalność, jest szerzenie rodzimej oświaty w tych właśnie warstwach społeczeństwa, w których potrzeba jej najpilniejszą i najniezbędniejszą się okazuje. Obecnie właściwy majątek wynosi 20,000 rs. Jednakże suma ta stanowi tylko zawiązek, pierwszy główny dar powiększany ciągle nowemi darowiznami, na ten cel przeznaczonemi. Stałe i czyste dochody od kapitału zakładowego, obracane będą na wydawnictwa ludowe, w najrozleglejszem słów tych znaczeniu. Wydawnictwa przedsiębrane będą drogą konkursu, przez zamówienia oraz wybór prac nadesłanych przez autorów. Komitet zarządzający fundacyą nie będzie nabywał dzieł już wydanych, ani też wydawał broszur treści politycznej. Książki które „Macierz" wydawać będzie, mają być pisane w języku polskim albo też w rusińskim, jakim mówi lud zamieszkały we wschodniej części Galicyi. Administracyjną siedzibą „Macierzy" jest Lwów, a organami administracyjnemi rada wykonawcza pod kontrolą kuratora i rada nadzorcza. Kuratorem jest J. I. Kraszewski, a zastępcą jego p. marszałek krajowy, dr. Mikołaj Zyblikiewicz. Corocznie ma być podawane do powszechnej wiadomości, sprawozdanie z czynności „Macierzy Polskiej". Członkowie obu rad pełnią obowiązki swoje bezpłatnie; sekretarzowi rada wyznaczy odpowiednią płacę. Zarządem kapitału żelaznego zajmować się będzie wydział sejmu, i corocznie zdawać będzie z niego sprawę sejmowi i publiczności.

Gdyby wydział krajowy istnieć przestał, sejm uchwali w czyje ręce przejść ma zarząd, w braku takiej uchwały rozstrzygnie postanowienie walnego zgromadzenia obu rad. Gdyby i to nie nastąpiło, lub jeżliby z jakich bądź powodów „Macierz polska" istnieć przestała, zarząd funduszami przeszedłby na Akademią Umiejętności, a gdyby i tej nie było — na Uniwersytet Jagieloński.

*** Na wzór takiegoż towarzystwa w Wiedniu, istnieje i we Lwowie „Towarzystwo Józefa z Arymatei", które wzięło sobie za zadanie grzebanie ubogich zmarłych. Przewodniczącym w tem Towarzystwie jest ksiądz Leonard Solecki; ogólne jego zebranie odbyło się 19 z. m. w gmachu ratuszowym.

Liczba członków wynosi obecnie 1,010. Towarzystwo pobiera znaczne subwencye i zasiłki, a mianowicie od Wydziału krajowego 500 złr. rocznie, od reprezentacyi miasta Lwowa 100 złr., od galicyjskiej kassy oszczędności 200 złr. W ciągu ubiegłego roku ogólny przychód wynosił 3,501 złr. 86 cent. a rozchód 1,949 złr. 45 cent. W tymże roku pogrzebano 591 biednych, mianowicie: 374 wyznania katolickiego, 216 greckiego i 1 wyznania ewangelickiego.

Jakże podobne Towarzystwo pożytecznem byłoby w Warszawie!

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 23 Марта 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 14, r. 1882.

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

(Dalszy ciąg.)

— Czy wiesz, Tereso, dodała po chwili, iż gdybym mogła przypuścić że droga moja Łucya zechce kiedyś robić z siebie takie widowisko jak ty i tyle innych dziewcząt, zalewałabym się łzami żalu i rozpaczy.

— Robić z siebie widowisko!.. zawoła miss Blake.

— A jakże to nazwać, gdy gromada młodych dziewcząt biega za tym szaleńcem Gwidonem Cattacomb i za tym drugim... Puff'em, czy jak się tam nazywa. Doprawdy, matki nie powinny pozwalać na to.

Łucya prosiła aby jej podano chłodzący napój który zawsze stał przy niej i gdy matka podawała jej szklankę, uscisnęła jej rękę z uśmiechem. Mistress Cleeve zrozumiała że ten uśmiech znaczył: możesz być pewną że nie sprawię ci nigdy podobnej przykrości.

Pułkownik wszedł do pokoju gdy Łucya stawiała szklankę; spojrzał ze smutkiem na córkę, gdyż niepokoiło go to ciągłe jej osłabienie.

— Jakże się masz, drogie moje dziecię?

— Trochę mi zimno, odpowiedziała Łucya.

— A jednak dziś bardzo gorąco! rzekł pułkownik ocierając pot z czoła.

— Cóż tam słychać w mieście? zapytała mistress Cleeve.

— Nic tak ważnego. Kapitan Andinian sprzedał swój stopień, było to niezbędnem w jego położeniu.

— Jakież to straszne dla niego nieszczęście! Cała jego przyszłość została zwichniętą.

— Tak, i nieszczęście na które nie ma lekarstwa. Gdyby był nawet jenerałem musiałby postąpić tak samo; brat człowieka skazanego na galery nie może pozostawać w wojsku królowej. Gdyby sir Adam został skazanym na śmierć, to według mego zdania głównodowodzący miałby prawo dać dymisyę kapitanowi Andinian, jeźliby ten nie usunął się dobrowolnie, dodał pułkownik, bardzo dbały o honor armii.

Miss Blake zarumieniona ze wzruszenia, odwróciła się szybko. Ta wiadomość spadła jej na serce jak kawał ołowiu; przyszło jej zaraz na myśl że skoro Karol wyszedł z wojska, nie będzie już miał po co wracać do Winchester.

— Kapitan Andinian nie jest wcale odpowiedzialnym za czyny swego brata, odezwała się cierpko.

— To nie podpada wątpliwości, Tereso.

— A więc w takim razie i wstyd nie może spadać na niego.

— To jest właśnie najboleśniejszem w podobnych wypadkach, kochana Tereso, że hańba dotyka wszystkich członków rodziny; na to już nie ma rady. Kapitan Andinian będzie odtąd źle widzianym, powiem nawet poniekąd wykluczonym z towarzystwa, i narażonym na to, że byle kto może wskazywać go palcem jako brata mordercy.

Nastąpiło milczenie. Te ostatnie słowa sprawiły na wszystkich bardzo przykre wrażenie. Miss Blake była niemi oburzona. Jeźli kiedyś zostanie mistress Andinian!...

— Czy sir Adam zostanie wysłanym do Australii? zapytała mistress Cleeve.

— Nie, na wyspę Portland; mówią nawet że już się tam znajduje.

— A cóż zrobią z jego majątkiem?... z jego dobrami?

— Krąży pogłoska że przekazał wszystko matce, przed zapadnięciem wyroku; nie jest to jednak wiadomość pewna. Smutna to rzecz dla kapitana Andinnian, dodał pułkownik. Człowiek tak miły i zacny!

Sądzili zapewnie że Łucya zasnęła, gdyż leżała spokojnie zasłoniwszy ręką oczy.

Wkrótce potem pułkownik i mistress Cleeve wyszli z pokoju, a Teresa złożywszy robotę zawinęła ją w bibułkę, gdyż musiała pośpieszyć na jakieś nabożeństwo. Zbliżyła się do kominka chcąc otrząsnąć z sukni kawałki jedwabiu, i rzekła spojrzawszy na Łucyę:

— Jakże to dobrze, Łucyo, że nie zostałaś żoną kapitana Andinnian.

— Dlaczego?...

— Znajdowałabyś się teraz w bardzo smutnem położeniu.

— Mylisz się, Tereso, to nieszczęście jeszcze silniej połączyłoby nas z sobą odpowiedziała Łucya stłumionym głosem. (Musimy tu nadmienić że tak Łucyi jak jej rodzicom nie przyszło nigdy na myśl, że miss Blake jest zakochana w Karolu Andinian).

Miss Blake spojrzała na zegarek; miała jeszcze parę minut czasu, mogła więc zamienić kilka słów z Łucyą. Według jej bezinteresownego zdania, (bo starała się o wszystkiem sądzić bezinteresownie) związek z kapitanem Andinian byłby zupełnie nieodpowiednim dla Łucyi, jakkolwiek nie sądziła aby w tem było coś niewłaściwego, gdyby ona sama, ulegając swej namiętności, zniżyła się do niego.

— Nie sądzę aby to miało znaczyć, że nawet przy obecnym zbiegu okoliczności, chciałabyś oddać swą rękę kapitanowi Andinian?

— Uczyniłabym to chętnie, gdyby tylko rodzice moi nie sprzeciwiali się temu.

— Czy być może! Gdzie się podziała twoja duma?

— Nie powiedziałam że pójdę za niego, Tereso, tylko ponieważ czynisz nieprawdopodobne przypuszczenia, odpowiadam na nie szczerze. Nie spodziewam się nawet widzieć na tym świecie Karola Andinian.

Wymówiła te słowa z tak głębokim smutkiem, że wzruszyły miss Blake, pomimo zazdrości nurtującej jej serce.

— Dostrzegam dziś w tobie niezwykłe zniechęcenie czy też zwątpienie, Łucyo, rzekła łagodnie. Czy się czujesz gorzej?

— Nie... odpowiedziała z westchnieniem Łucya; nie czuję się gorzej... przyznaj sama, Tereso, że nie wyglądam na osobę mogącą spodziewać się długiego życia. Pragnę jednak szczerze odzyskać zdrowie... sprawiłoby to tak wielką radość rodzicom!

VI.

Coś tajemniczego.

Mistress Andinnian i Karol byli przekonani że nikt jeszcze nie doznał tak wielkiego nieszczęścia jak to które ich dotknęło i rzeczywiście, kochając tak głęboko Adama ponieśli cios przewyższający prawie ich siły. Wstyd spadający na nich był równie dotkliwym i ciężkim do zniesienia, zwłaszcza też dla Karola rozpoczynającego zaledwie życie. Są na świecie nieszczęścia na które niema ratunku, których nic złagodzić nie może, a takie właśnie ich spotkało. Trzeba było dźwigać je cierpliwie pocieszając się myślą że istnieje świat lepszy, do którego smutki i cierpienia nie mają przystępu — i ta właśnie nadzieja podtrzymywała Karola.

Już sama konieczność sprzedania stopnia sprawiła mu niewysłowioną przykrość; polubił swój zawód i miał nadzieję, że rozliczne zajęcia przywiązane do jego stopnia złagodzą z czasem boleść jego po rozłączeniu się z Łucyą. Teraz będzie zmuszony prowadzić prawie bezczynne życie. Wszyscy okazali mu wiele życzliwości, począwszy od głównodowodzącego aż do prostych żołnierzy, nie szczędzono mu oznak szacunku i współczucia, ale nikt nie powiedział nie „porzucaj służby, zostań z nami". Jego Królewska wysokość wyraził mu bardzo grzecznie żal że królowa traci tak dzielnego żołnierza, ale podanie o dymisyę przyjął jako rzecz bardzo naturalną. Niepodobna się było wahać, wszakże brat kapitana Andinnian był skazany na powieszenie, a teraz dźwigał kajdany na wyspie Portland, nie pozostawało mu więc nic więcej, jak żyć w ukryciu pomimo swej zacności i wszelkich przymiotów.

Można było uważać za szczęście dla Karola że spadł na niego ciężar licznych interesów gdyż przymusowe te zajęcia nie dozwalały mu zagłębiać się zbytecznie w bolesnych myślach. Prócz swych własnych, musiał zajmować się jeszcze interesami matki. Dom w Northamptonshire został zamknięty; sprzedano meble, odprawiono służących, z wyjątkiem Hewitt'a a Karol zajmował się tem osobiście. W czasie swojego tam pobytu musiał stoczyć z sobą ciężką walkę; wrodzona dobroć radziła mu odwiedzić miss Turner, ale jednocześnie sama myśl o tem spotkaniu sprawiała mu niewysłowioną przykrość. Nie mógł zapomnieć o tem że Róża była przyczyną wszystkich jego nieszczęść, przemógł jednak swą niechęć i poszedł do niej. Znalazł ją bardzo smutną i zmienioną, zeszczuplałą, zbladłą, i zaledwie zdołała przemówić do niego. Już po wywiezieniu sir Adama na wyspę Portland straciła stryja którego bardzo kochała. Powiedziała Karolowi że stryjenka jej zamierza opuścić te strony, i przenieść się w okolice Kumberlandu z których pochodziła, i że ona zamierza jej towarzyszyć. Pan Turner zostawił po sobie dość duży majątek, na którym wdowa po nim ma tylko dożywocie, a który następnie odziedziczy Róża. Karol ściskając jej rękę przy pożegnaniu, przemówił kilka słów, które, jak jej się zdawało, miały odnosić się do nieszczęsnego wypadku który jej zatruł życie. Sprawiły one na biednej Róży dziwne wrażenie;

zerwała się z krzesła; twarz jej pokryła się krwistym rumieńcem a potem zbladła śmiertelnie: „Ani słowa o tem, kapitanie Andinnian“, zawołała z przerażeniem, — przez litość, ani słowa więcej, jeźli nie chcesz abym postradała zmysły. I tak już zdaje mi się czasem że na tem skończę.

Odszedł z tem przekonaniem że nie spotkają się już nigdy, co zresztą było bardzo prawdopodobnem. Posłano Hewitt'a do Foxwood, gdzie na przyszłość miała mięszkać mistress Andinnian wraz z synem; ale obecnie żadne z nich tam nie przebywało. Karol zajęty interesami to w Londynie, to w Northamptonshire, nie był przez jakiś czas u matki, a następnie stracił ją całkiem z oczu. Opuściła nagle najęte na czas jakiś mieszkanie i znikła bez wieści. Łamał sobie właśnie głowę chcąc odgadnąć gdzie i w jakim celu pojechała, gdy odebrał list z Weymouth. W tym liście mistress Andinnian donosiła synowi, że osiadła czasowo w Weymouth, zalecając usilnie aby nie wspominał o tem nikomu. Karol domyślił się natychmiast co skłoniło matkę do zamieszkania w mieście w którym nie znała nikogo: chciała być o ile można najbliżej od strasznego więzienia, w którem syn jej przebywał.

Tak było rzeczywiście. Gdy Adama odesłano na wyspę Portland, matka przeniosła się do sąsiadującego z nią Weymouth, aby przynajmniej być bliżej syna. Karol nie znał ani tej miejscowości, ani rozporządzeń istniejących na wyspie Portland, nie wiedział czy wolno było ciekawym zwiedzać ją i czy mogli widzieć więźniów zajętych pracą.

Kapitan Andinnian udał się do Weymouth na początku października. Znalazł matkę w małym i niepozornym domku, przy końcu miasta. Potrzebował koniecznie pomówić z nią o interesie dotyczącym dóbr Foxwood, zostających pod jej zarządem. Mistress Andinnian zaleciła mu usilnie, aby przybył do niej w największej tajemnicy, nie wymieniając swego nazwiska, tak na stacyi jak gdziebądź bez koniecznej potrzeby. „Ma słuszność, pomyślał Karol; nazwisko nasze stało się obecnie nazbyt głośnem“. Było to na nieszczęście rzeczą tak niewątpliwą iż nie szukał nawet innego powodu usprawiedliwiającego żądanie matki.

— Powiedz mi, droga matko, dla czego się tu przeniosłaś? zapytał wkrótce po przywitaniu, obrzucając wzrokiem mały i nędznie umeblowany pokój. Sądzę że wypadało przynajmniej wyszukać wygodniejszego mieszkania i w odpowiedniejszym dla ciebie domu.

— Postąpiłam tak jak mi się podobało, odpowiedziała swym dawniejszym, imponującym tonem. nie masz prawa zadawać mi podobnych zapytań.

Mistress Andinnian była bardzo zmieniona; przebyte udręczenia pozostawiły na jej twarzy wybitne ślady. Policzki, ożywione dawniej świeżym rumieńcem, pokryły się teraz martwą bladością; wielkie czarne oczy spoglądały dziko i niespokojnie, obejście tylko nie uległo żadnej zmianie, przynajmniej o ile to dotyczyło Karola, i zdawała się dumniejszą jeszcze jak dawniej.

— Mówię to jedynie przez troskliwość o ciebie, matko, odpowiedział Karol. Wszystko tu tak odmienne od tego do czego nawykłaś.

— Bo też i okoliczności zmieniły się zupełnie, odpowiedziała krótko.

— Zdaje mi się że masz tylko jedną służącę.

— Nie potrzebuję mieć ich więcej; jest to kobieta wierna i życzliwa. Zresztą, powtarzam raz jeszcze, że okoliczności zmieniły się zupełnie.

— Tak, niestety!.., Jednak pod pewnym względem zaszła w nich korzystna zmiana; jesteś teraz bogatą, kochana matko.

— Więc sądzisz że mogłabym wziąść dla siebie choćby jeden penny, z majątku należącego do mego najdroższego Adama? zawołała zwracając na niego oczy błyszczące oburzeniem. Wyjąwszy wydatków niezbędnych na utrzymanie Foxwoodu i... i... — Nie, dodała po chwili, zbieram wszystko dla niego!

Karol zadawał sobie pytanie, czy umysł matki wskutek tak wielkiego zmartwienia nie uległ jakiemuś zboczeniu. Na cóż mógł się zdać majątek biednemu Adamowi? Wszakże nie można się było spodziewać aby kiedyś otrzymał *ticket of leave*, gdyż nie udzielano go nigdy jeźli raz kara już została zmniejszoną,

Mistress Andinian zaczęła zadawać synowi pytania odnoszące się do sprzedaży ruchomości z jej dawnego mieszkania; Karol odpowiadając na nie wspomniał przypadkiem o śmierci pana Turner i swojej bytności u Róży. Mistress Andinian posłyszawszy to imię wybuchła tak gwałtownem gniewem, jakiego Karol już od wielu lat nie był świadkiem.

— Nie nawidzę jej! krzyknęła z uniesieniem. Gdyby nie ona, mój syn ukochany nie byłby skazany na to życie straszne, cięższe nad śmierć samą. Pragnę aby najsroższe nieszczęścia spadły na głowę Róży Turner.

Karol starał się uśmierzyć burzę, którą wywołał tak niebacznie, uwiadomił matkę że prawdopodobnie nigdy już nie zobaczy Róży, która miała zamiar przenieść się aż w okolice Kumberlandu.

Służąca mistress Andinian miała około czterdziestu lat, była cicha i małomówna, a zdawała się bardzo przytomna i rozgarnięta. Pani nazywała ją zawsze tylko Anną, ale Karol dowiedział się później że była mężatką, i nazywała się mistress Hopley. Kapitan Andinian nabrał wkrótce przekonania że jest szczerze przywiązaną do jego matki, widząc jak stara się okazać jej swoje współczucie, za pomocą różnych drobnych przysług.

— Gdzież jest twój mąż? zapytała jej pewnego dnia.

— Hopley musi także pracować na siebie, odpowiedziała; doznaliśmy ciężkich niepowodzeń, a w takich razach trzeba ratować się jak można. Musieliśmy się rozłączyć, i każde z nas pracuje jak umie.

— Więc on nie mieszka w Weymouth?

— Nie, panie; nie pochodzimy z tych stron Prawie nie znam miasta; mieszkam w niem dopiero od czasu przybycia tu mistress Andinian!

Karol domyślał się z tej odpowiedzi, że matka jego przywiozła z sobą do Weymeuth Annę Hopley; tłomaczyło to poniekąd dziwną dla niego zagadkę: czemu matka jego tak zwykle nieskora do zwierzeń uwiadomiła tę kobietę o nieszczęściu które na nich spadło? Sądził że Anna wiedziała o niem już gdząc się do służby.

— Jakież to nieszczęście wpłynęło tak zgubnie na wasze życie? zapytała z wyrazem współczucia.

— Mieliśmy tylko jedno dziecko... syna, który poszedł złą drogą... Był jeszcze prawie dzieckiem gdy już nas i siebie pokrył hańbą.. i byliśmy zmuszeni opuścić nasze domowe ognisko.

— Gdzież jest obecnie?

Zakryła twarz fartuchem chcąc ukryć swe wzruszenie.

— Umarł... rzekła stłumionym głosem. Śmierć jego była okropną... nie mam jeszcze siły mówić o tem... Zaledwie ubiegło trzy miesiące od tego strasznego dnia.

Karol spojrzał na czarne wstążki przy jej czepku na suknię z czarnego perkaliku w biały deseń, którą nosiła zwykle przy robocie, i boleść tej nieszczęśliwej kobiety wzbudziła w nim żywe współczucie. Wszystko się teraz wyjaśniało: jednakowe powody smutku stanowiły węzeł łączący z sobą panią i sługę. Później dowiedział się szczegółów: młody Hopley doprowadził rodziców do nędzy, następnie stał się zbrodniarzem, a nakoniec odebrał sobie życie aby uniknąć więzienia.

Karol dostrzegł wkrótce że w domu działo się coś dziwnego i tajemniczego. Pani i służąca zamykały się często razem w pokoju i rozmawiały z sobą cicho. Dwa razy widział jak Anna Hopley wysuwała się z domu otulona szerokim płaszczem, w kapeluszu osłaniającym jej twarz, przysłoniętą już i tak gęstym woalem; widocznie chodziło jej o to aby nie być poznaną. Dziwiło go to niewymownie.

Pewnego wieczora, gdy siedząc przy stole obok matki, czytał książkę, usłyszano że ktoś zapukał lekko do drzwi wchodowych, i następnie wszedł do kuchni. W tak małym domku, każdy szmer nawet dawał się słyszeć wyraźnie. W parę minut później weszła Anna Hopley z oznajmieniem że ktoś pragnie pomówić z panią. Uderzyło to Karola—gdyż wiedział że matka nie ma w mieście znajomych, ale mistress Andinian nie zdawała się wcale zdziwioną, tylko spojrzawszy na syna, odezwała się z pewnem wahaniem:

— Proszę cię, Karolu, przejdź do drugiego pokoju; nie możesz być obecnym przy tej rozmowie.

Spodziewała się więc że ten ktoś przyjdzie, pomyślał Karol wchodząc do swego pokoju. Przymknął tylko za sobą drzwi i przez szparę dostrzegł mężczyznę wysokiego wzrostu i silnie zbudowanego, gdy w płaszczu i czapce nasuniętej głęboko na czoło, przechodził przez wązki korytarzyk wiodący do saloniku. Zdawało się kapitanowi Andinnian że ten człowiek nie życzy sobie wcale aby ktoś mógł dojrzeć jego rysy. Rozmowa trwała przeszło kwadrans, poczem Anna Hopley odprowadziła nieznajomego, i Karol wrócił do saloniku.

— Któż to był, mamo?

— Osoba która potrzebowała widzieć się ze mną, odpowiedziała mistress Andinian, tonem nie dopuszczającym dalszych pytań.

Dnie mijały smutnie, jednostajnie; mistress Andinian była prawie zawsze zamyślona i milcząca a jeźli odezwała się czasem to zimno i niechętnie. Gdyby przynajmniej chciała obchodzić się ze mną jak z synem, i nie odmawiała mi swego zaufania! myślał często biedny Karol, ale czas upływał nie przynosząc żadnej zmiany w postępowaniu z nim matki.

Pewnego dnia postanowił udać się na wyspę Portland. Dawno już miał ten zamiar, ale powstrzymywało go zawsze jakieś bolesne uczucie, jakiś wstręt czy też obawa.

Wyspa Portland jest smutna, ponura; to też posępne myśli opanowały umysł Karola skoro tylko stanął na niej. Najlżejsze burze na morzu stają się gwałtownemi przy jej brzegach. W czasie jego tam bytności bałwany poruszane gwałtownym wichrem roztrącały się o brzegi, a huk ich odbijał się bolesnem echem w jego sercu. Widok wzburzonego morza, niekiedy tak wspaniały, wydał mu się w tej chwili tylko groźnym i dzikim, rzadko rozsiane domki były równie nędzne jak ten w którym mieszkała jego matka.

(*D. c. n.*)

STRASZNA NOC.

PRZEZ

K. ROBERT.

(Dalszy ciąg.)

Cóż znaczy dla mnie i dzielnych moich towarzyszy, jedna noc więcej spędzona pod gołem niebem!.. Zaraz po wieczerzy zostawiemy cię pod opieką starego Bernarda i jego żony, a sami przenocujemy pod przyległą skałą.

Widać było że Bartol jest częstym gościem w oberży, że zna doskonale jej zasoby i mieszkańców, którzy posłuszni byli każdemu jego skinieniu. Bertrand i żona jego, oboje starzy i wstrętnie brzydcy, krzątali się około przygotowań do wieczerzy, oboje byli posępni i milczący, jak ludzie którym straszne rzeczy ciężą na sumieniu, bojący się przemówić aby się nie zdradzić jakiem nierozważnem słówkiem. Dzieci ich brzydkie, osmolone, obdarte, ponure i dzikie, krok w krok chodziły za niemi, naśladując korną ich uniżoność dla bogatych podróżnych.

Z kuchni dochodził coraz głośniejszy brzęk żelaznych narzędzi kuchennych; gęsty czarny dym wdzierał się z niej do izby, przynosząc z sobą odór i syk smażącej się słoniny. Na stole w izbie gościnnej postawiono dzbanek z cienkiem winem, położono bochenek razowego chleba, żelazne noże i widelce i pootłukane talerze.

Gdy podano wieczerzę, Albertyna zdziwiła się niewymownie widząc że trzej bandyci nie zasiedli razem do stołu, nie przypuszczając że zachodzą między nimi inne odznaczenia, jak większa wprawa w kradzież i większa odwaga w wynikających z jej powodu walkach. Jednak sam tylko Bartol zasiadł do wieczerzy w izbie, zaś zamaskowani jego towarzysze poszli jeść do kuchni.

Co do niej, nie odpowiedziała nawet na zaproszenie Bartola wskazującego jej miejsce obok siebie, odsunąwszy się usiadła w kącie na ławce odwrócona plecami i głowę wsparła na ręku.

Nieznacznie, z pod oka, zaczęła przyglądać się Bartolowi, któremu dotąd nie dość się przypatrzyła. Świeże powietrze, ruch i przygody tej awanturniczej nocy, pokryły twarz jego lekkim rumieńcem, doskonale, odbijającym od ciemnej jego cery; w tył odrzucone czarne włosy odsłaniały czyste i wyniosłe czoło, twarz niezwykle teraz ożywiona, przybrała bardzo pociągający wyraz. Zachowanie się przy stole zdradza zwykle wychowanie i obejście, otóż rzecz niepojęta, całe wzięcie się bandyty znamionowało człowieka obytego z dobrem towarzystwem. Z drugiej znów strony zdawało się że nie czuje najmniejszej odrazy do tej karczemnej kuchni, zajadał bowiem jajecznicę usmażoną na słoninie z najlepszym apetytem.

Przypatrzywszy mu się dobrze, Albertyna musiała przyznać w duchu iż nie przesadzano bynajmniej podziwiając dobre obejście i ujmującą powierzchowność tego bandyty. Wtem spostrzegła że nieznacznie postawiono przed nią mleko w białej fajansowej filiżance; po chwili namysłu wyrozumowała sobie że dla nietracenia odwagi należy podtrzymywać siły fizyczne, i odwróciwszy się powoli wzięła mleko i kawałek razowego chleba, a głodna trochę, zjadła je ze smakiem.

Nareszcie Bartol wstał od stołu; towarzysze jego przyszli z kuchni włożywszy znów maski, a bandyta dotrzymując danego Albertynie przyrzeczenia, oddalił się wraz z nimi pozostawiając ją w izbie. Jednakże nieobecność jego nie uspokoiła ją bynajmniej; strach ją przejmował na samą myśl że jest tak samotną i opuszczoną w tak dzikiej, zupełnie nieznanej sobie miejscowości. Nareszcie wszedł stary Bertrand oznajmiając młodej podróżnej że przygotowano dla niej oddzielny pokój. Żona jego stała tuż za nim. Na twarze ich zakryte do połowy wełnianemi kapturami, padało drżące i niepewne światło lampki zawieszonej u sufitu; spojrzała na nich, i zdawało się jej że grube, wyraziste ich rysy napiętnowane są dzikim i okrutnym wyrazem.

Przerażona, padła bezwładnie prawie na ławkę; serce jej się ścisnęło, w tej chwili żałowała niemal iż wymogła na Bartolu aby się oddalił?... bała się strasznie Bertranda i jego żony... Przywódzca bandytów nie obudzał w niej zapewnie wielkiego zaufania, ale wiedząc że jest w niej zakochany, pewną była iż stanąłby w jej obronie w razie grożącego jej niebezpieczeństwa.

Zaczęła znowu bacznie przyglądać się gospodarzom zbójeckiej gospody, zakopconej izbie w której siedziała, i wszystko razem wydawało jej się coraz więcej podejrzanem i groźnem. Z jednej strony izby dostrzegła jakieś zagłębienie do którego światło nie dochodziło; co mogła ukrywać ta skrytka? Zaraz przy brzegu stała siekiera na której widoczne były czarne plamy — niezawodnie od przyschłej krwi — w głębi błyszczały tu i owdzie stalowe ostrza, zdradzające zapewnie zbójeckie noże. Rozpoznała także poszarpaną i zbrukaną odzież, różnej formy i wielkości. Co więcej tam się znajdowało ciemność nie dozwalała dostrzedz.

Zobaczyła że syn gospodarstwa wysoki, chudy, rudowłosy chłopak, podszedł jakby skradając się do skrytki, i widać obawiając się aby podróżna nie zobaczyła zakrwawionej siekiery i różnej broni, prędko ukrył wszystko w głębi zachowania. Nie spuszczając z niego oka, dostrzegła jak pochylił się i zapewnie przez ukryty w podłodze otwór, zniknął w podziemnym lochu.

Za każdem takiem spostrzeżeniem uczuwała jakby zimne ostrze żelazne zatapiano w jej piersi; zimny pot występował na czoło. Stanęła ręką wspierając się o stół; utkwiwszy błędny wzrok w owem zagłębieniu w którem dostrzegła krwią zbroczoną siekierę i owe suknie różnej wielkości, zdarte niezawodnie z zamordowanych podróżnych. Widziała jak ów rudowłosy chłopak kilkakrotnie wychodził i wracał do podziemia—może ukrywał w niem ciała zamordowanych ofiar!...

Wtem stary Bertrand przysunął się do niej ze świecą w ręku, mówiąc że pokój już gotów i łóżko posłane.

Drgnęła gwałtownie... Po chwiice uśmiechnąwszy się uprzejmie, rzekła słodkim głosem, podając Bertrandowi zegarek który miała na sobie:

— Proszę przyjm to ode mnie, ojcze Bertrand... ofiaruję ci go chętnie... tyle trudu zadaliście sobie dla mnie!... A o to moje bransolety dla pani Bertrand, dodała zdejmując je prędko—proszę włóż je pani, będzie ci w nich bardzo ładnie... To znów szpilka dla tego młodzieńca... a te pierścionki dla tych ślicznych dziewczątek... przyjmijcie proszę... daje wam bardzo chętnie...

I z gorączkowym pośpiechem zdejmowała z siebie wszystkie kosztowności jakie miała na sobie, Bertrand i rodzina jego przyjmowali z ogłupiałą miną te bogate dary, kłaniając się aż do ziemi. Albertyna dziękowała w duchu niebu za to zbawienne natchnienie – oddawszy wszystko co miała, mogła mieć nadzieję że tem ocali swe życie.

— Jak spokojnie zabierają wszystko, myślała sobie... z tego już widać jacy to zatwardziali zbrodniarze!

I powoli, chwiejąca się i drżąca zaczęła wchodzić na schody prowadzące na pierwsze piętro, licząc przebyte stopnie.

Gdy tylko weszła, najpierw zamknęła drzwi za sobą, gdyż szczęściem zaopatrzone były zamkiem i zasuwą. Nieco tem uspokojona, postawiła świecę na stoliku przy łóżku. Teraz przypomniał jej się żywo ostatni wieczór spędzony w domu swych krewnych i opiekunów, owa chwila gdy już miała się położyć... stanęły jej w oczach owe jedwabie, batysty i koronki, wczoraj jeszcze zdobiące dziewiczą jej sypialnię. Gdy patrząc na nie w myśli obejrzała się po izdebce w której się znajdowała, przytłumiony krzyk wydarł się z jej piersi.

Drewniane stołki, kulejący stolik, ściany, podłoga, wszystko to było stare, brudne, straszne, w łóżku był tylko siennik, a kolorowe prześcieradła, powłoczka i kołdra, nadzwyczaj zużyte i tak wyprane iż barwy odróżnić nie można było.

Nawykła do wykwintności i zbytku, umiała przecież poprzestać na filiżance mleka i kawałku razowego chleba jakie stanowiły całą jej wieczerzę, zapłakała jednak gorzko przejęta wstrętem i odrazą na widok brudnej nory przeznaczonej na jej sypialnię. Co prawda łóżko najmniej jeszcze ją obchodziło, bo ani myślała w nie się położyć. Usiadłszy przy maleńkiem okienku w dymniku, przez które zaledwie skrawek nieba dojrzeć można było, zaczęła zastanawiać się i rozważać kilka ostatnich minionych godzin.

To przerzucanie się z jednego przerażenia w drugie straszniejsze jeszcze, z jednej przygody w drugą, istnem piekłem jej się wydało. Nie umiała pojąć jak mogła przeżyć to wszystko. A jednak czemże było wszystko co przecierpiała, w porównaniu ze strasznem oczekującem ją jutrem, z ową przerażającą obawą i niepokojem jaka czeka ją przyszłość!...

Wtem okropna myśl powstała w jej głowie.

Wiedziała że Bartol był sławnym w swoim rodzaju, że miejscowe dzienniki piszą często o nim, tak więc kiedyś, gdy w głośnych sprawozdaniach sądowych, w miejscowych kronikach, mówić będą o zbrodniczem jego życiu i haniebnej śmierci jaką zapewnie skończy, nazwisko jej będzie powtarzane i nieodłączne od dziejów tego bandyty.

Na tę straszną myśl zaczęła płakać, piersi jej gwałtowne podnosiły łkania. Wzniosła ku niebu błagalne dłonie, wołając rozpaczliwie:

— Boże mój! Boże! czemże zawiniłam tak ciężko, aby na tak okropną zasłużyć karę!...

I zdało jej się że tajemny głos jakiś wyszeptał jej odpowiedź:

„Nie umiałaś szanować szczęścia jakie ci było danem".

Obłąkana rozpaczą, postanowiła odebrać sobie życie, rzucając się w otchłań z jednej z gór pobliskich, gdy nazajutrz opuszczą gospodę.

Gdy pogrążona w tych strasznyah myślach, widziała wzrokiem wyobraźni czarną przepaść w której miała skończyć życie, nagle zaczęła nadsłuchiwać i otworzywszy szeroko przerażone oczy, zerwała się drżąc jak w febrze.

Ktoś wchodził po schodach.

Pomimo powziętego postanowienia i żądzy śmierci, odgłos tych zbliżających się kroków przejął ją niewysłowionym strachem.

Serce biednej Albertyny biło tak gwałtownie, iż uderzenia jego odznaczały się na staniku. W głuchej ciszy zalegającej dom i okolicę, łatwo było odróżnić każde skrzypnięcie podłogi; kroki zatrzymały się przy samych drzwiach, i lekko spróbowano je otworzyć. Zebrawszy ostatek sił, popchnęła łóżko i zastawiła niem drzwi, poczem rzuciła na nie parę stołków znajdujących się w izdebce, i powróciwszy do okienka, padła na kolana i wzniósłszy ręce ku niebu zaczęła się modlić.

Kawałek danej jej świeczki wypaliwszy się zagasł, duszący dym roztaczając w powietrzu; czarna noc zaległa do koła, a nieszczęsna porwana z łona rodziny dziewczyna, była zupełnie sama, a jedynymi strasznemi jej towarzyszami, były ciemność i strach.

Jakiś głuchy odgłos i jakby poruszanie drzwi nie ustawało; wprawdzie były one zamknięte na klucz, ale przypomniawszy sobie kratę ogrodową w Nantua, Albertyna wiedziała że zamek nie jest dość silną zaporą dla noża bandyty... A nic, nie nie miała na swoją obronę—ani sił ani jakiejbądź broni, znikąd i od nikogo nie mogła spodziewać się pomocy... Była sama w zbójeckiej gospodzie, w dzikiej i pustej okolicy, otoczonej strumieniami i łańcuchami gór, czyniącemi ją niedostępną dla niewtajemniczonych. Jedynym ratunkiem, jedyną dla niej ucieczką był Bóg i modlitwa—to też modliła się tak gorąco jakby w ostatniej życia godzinie.

IV.

Następna noc.

Zaświtał nareszcie dzień, ten błogosławiony obrońca, oswobodzający na całej świata przestrzeni istoty bezbronne, zagrożone nożem mordercy.

Za pierwszym dnia odbłyskiem, ucichł szmer dający się słyszeć przy drzwiach Albertyny. Biedna dziewczyna pomyślała sobie iż widać gospodarz nie zdążył wybić drzwi lub ściany, że więc niebezpieczeństwo przynajmniej odwleczonem zostało.

Znużona przebytem wrażeniem i bezsennością, przechyliła głowę na poręcz drewnianego stołka i tak siedząc zasnęła.

Było już południe. Słońce objęło swojemi promieniami wspaniałe szczyty okolicznych gór i blask jego zbudził nareszcie Albertynę znękaną strasznemi wspomnieniami i przygodami przechodzącemi najokropniejsze sny, zawsze jednak wzmocnioną nieco kilkogodzinnym wypoczynkiem.

Szedłszy na dół, nie zastała nikogo w wielkiej izbie; wyszła więc przed gospodę, tak dla odetchnienia świeżem powietrzem jako też dla przekonania się czy dozwolą jej przejść się w pobliżu.

Udała się ścieżyną prowadzącą do małej polanki kryjącej się wśród gęstych zarośli. Zaledwie uszedłszy kilka kroków w tym kierunku, usłyszała jakieś głosy w niewielkiej odległości, zaczęła więc ostrożnie posuwać się w stronę, z której ją dochodziły. Była to właśnie owa polanka, w pośrodku której stali trzej bandyci. Ukrywszy się za krzakami, mogła zajrzeć na polankę.

Była ona pogrążona w półcieniu; jasne promienie słoneczne mieszały się bowiem z cieniami padającemi od drzew otaczających. Liście, na których drżały jeszcze krople deszczu, zdawały się wysadzone brylantami; w całej przestrzeni unosiły się jakby złote proszki; powietrze nasycone było upajającą wonią.

Rozmowa ustała. Bartol siedział przy małym okrągłym stoliku na którym podane było śniadanie, położył dymiące jeszcze cygaro, i bujając się na krześle, pośpiewywał aryę z *Czarnego domina*. Naprzeciw siedział towarzysz jego, ten który zajmował miejsce w powozie, a którego Albertyna nie mogła dostrzedz twarzy i nie słyszała głosu. Zawsze zamaskowany, stał nieruchomy z ręką wspartą o pień drzewa, zadumany i milczący. Nieco o podal siedział na trawie trzeci bandyta i spokojnie palił fajkę.

Albertyna długo dość nasłuchiwała i przyglądała im się bacznie, poczem oddaliwszy się ostrożnie, pobiegła zamknąć się w swoim pokoju. Tam padła na kolana i w gorącej zatonęła modlitwie. Jaką była ta modlitwa, jakie porywy podnosiły duszę jej ku niebu i jakiej ztamtąd doznała pociechy—to pozostało jej tylko i Bogu wiadome.

To tylko pewna że wstawszy od modlitwy, była jakby cudownie przemieniona; twarz jej zdradzała wewnętrzny spokój i stanowcze postanowienie; wprawdzie wzrok i wyraz fyzyognomii dawał poznać że różne myśli staczały walkę w jej umyśle, nie przedstawiały jednak żadnych śladów jakichś bolesnych wrażeń. Poprawiwszy jak mogła najstaranniej nieład ubrania, zeszła do gościnnej izby. Zastała w niej oberżystę z rodziną i trzech swoich wczorajszych towarzyszy.

Skutkiem wewnętrznej zaszłej w niej zmiany, wszystko teraz inaczej przedstawiało się Albertynie. Stary Bertrand i jego żona wydali jej się teraz jak prości sobie ale dobrzy ludziska, skutkiem czego niebardzo żałowała zegarka i bransolet jakie im ze strachu podarowała wczoraj. Nawet ów wysoki rudowłosy chłopak nie wydawał jej się teraz tak strasznym. Pomyślała sobie teraz że zapewnie to narzędzia rolne i odzież domową układał wczoraj w zachowaniu, a znikał nagle schodząc do piwnicy.

Albertyna zwróciła się ku dowódzcy bandytów, z uprzejmym wdziękiem podała mu rękę, mówiąc że gotowa jest zasiąść z nim do śniadania, jeżli zechce zaprosić ją do swego stołu.

Bartol osłupiał z zadziwienia.

Wiadomo że był już po śniadaniu, zanadto przecież był uprzejmym i światowym aby odmówić żądaniu Albertyny. Kazał więc podać śniadanie i jakoś dzięki dobremu apetytowi czy wpływowi świeżego powietrza, zajadał z największym apetytem.

Gdy wstali od stołu, Albertyna rzekła z najnaturalniejszą minką

— Panie Bartol jest już dość późno, jeżli zamierzasz pan przepędzić tu dzień dzisiejszy, to pragnęłabym przejść się trochę i poznać okolicę, o ile mi się zdaje, pełną malowniczych krajobrazów.

Coraz więcej zdumiony, Bartol odrzekł jednak z największą uprzejmością:

— Zawsze i w każdej chwili byłbym najszczęśliwszym mogąc spełniać życzenia twoje, piękna Albertyno, ale obecnie tem łatwiej mi to przychodzi, ponieważ powóz zepsuty w podróży, na jutro dopiero ma być naprawiony.

— W takim razie, proszę pozwól pan abym cały dzień mogła przechadzać się samotnie, powrócę gdy mrok zapadnie i przyrzekam iż jutro na oznaczoną godzinę, gotową będę towarzyszyć panu.

— Stanie się zadość twej woli, panno Albertyno; szczęśliwy jestem widząc cię w tak dobrem usposobieniu, iż chcesz korzystać z możliwej w tej podróży rozrywki... Przyznać jednak muszę iż dziwi mnie nieco.

— Bardzo to pojmuję.

— Tak nagła zmiana...

— Zarówno ważnem jest dla pana jak i dla mnie, abyś poznał powód tej nagłej zmiany—i dla tego potrzebuję rozmówić się z panem. I dla tego proszę, czekaj na mnie wieczorem o ósmej na pobliżkiej polance, ale przyprowadź z sobą obu swoich towarzyszy. Pragnę aby byli świadkami tej uroczystej chwili, mającej stanowić o wspólnej naszej przyszłości.

— Spełnię rozkaz pani, odrzekł z głębokim ukłonem.

Albertyna wyszedłszy z oberży pod „chytrym lisem", udała się drożyną prowadzącą ku górom. Jak to zapowiedziała, zdawało się że zajęta jest wyłącznie pięknemi do koła roztaczającemi się krajobrazami. Błądząc tak wśród gór, spostrzegła iż ów milczący towarzysz Bartola śledzi ją z oddali, i starając się aby go nie spostrzegła, nie spuszcza jej z oka. Ale że w dniu tym nie zamierzała uciekać, patrzyła na to obojętnie, udając że go nie widzi.

Słońce pochyliło się na horyzoncie. O oznaczonej godzinie Albertyna udała się na ową polankę na której z rana spostrzegła Bartola z towarzyszami, a którą obrała za miejsce schadzki. Bartol czekał już tam ze swymi bandytami.

Ciemność zaczynała zalegać las którego wierzchołki ozłacały zachodzące promienie słońca. Wysokość niebotycznych drzew, spokój panujący w powietrzu w którem ani jeden listek się nie ruszył, cisza panująca do koła, nadawały temu ustroniu jakąś imponującą postać i pewną uroczystą cechę scenie jaka w niem odegrać się miała.

Bartol stał wsparłszy lekko rękę o pochyloną gałęź, a nieco po za nim obaj jego towarzysze, ów milczący oparty o pień drzewa, z skrzyżowanemi na piersiach rękami. Cała ich postawa jakoteż wzrok wlepiony w stronę wiodącą do wejścia na polankę, wskazywały jak wielkim miotani niepokojem, oczekują zapowiedzianej rozmowy, do której widocznie wielką przywiązują wagę.

Gdy Albertyna weszła, przez chwilę głuche panowało milczenie; nareszcie przemówiła drżącym i wzruszonym głosem, w którem jednak przebijało niezłomne postanowienie:

— Panie Bartol, to co mam powiedzieć tak przekracza zakres zwykłych granic codziennego życia, iż muszę także pominąć wszelkie światowe zwykłe krępujące nas formułki. Chciałam dać ci poznać myśli i uczucia moje jak tylko sama poznałam stan mego serca; chciałam także aby wyznanie moje usłyszeli także najbliżsi i najzaufańsi twoi towarzysze, aby je uczynić uroczystszem jeszcze i uświęcić ich świadectwem.

(D. n.)

Opis do N-ru 14.

N. 1—2 i 9—10. Dwa spacerowe ubrania.

N. 1 i 10. Ubranie ze stanikiem à panier. Krój na arkuszu z formami N. I, fig. 1—10.

Formę bardzo dobrze leżącej krótkiej spódnicy, dajemy na fig. 10. Ryc. 10 przedstawia z tyłu taką spódnicę z gładkiego atłasu, całą w fałdy ułożoną. Stanik z panier ubrany atłasem, odrobiony był z cienkiego wełnianego materyału, ryc. 1 przedstawia taki kostium z pluszu i kaszmiru. Tylną draperyę upina się sposobem wskazanym na ryc. 10, z prostego bryta, którego miary dajemy na fig. 9. Kamizelkę dopełniającą przody, kraje się z pluszu lub atłasu, zarówno jak i część garnirunkową przy panier, której brzeg górny fałduje się i przyszywa do kamizelki, a brzeg dolny podchodzi pod fałdowaną baskinę pleców.

N. 2 i 9. Płaszczyk z chusteczką koronkową. Krój N. II, fig. 11—13a.

Rękaw przykrojony podług fig. 12, prawie zupełnie niknie pod wolantami koronkowemi, 6 cent. szerokiemi, w górze zakończonemi riuszą. Na szwach bocznych i z przodu naszyta fałdowana koronka. Chusteczkę układa się z prostego, 44 cent. szerokiego brycika koronki, i wszywa w górze pod riuszą do paska przy wykroju szyi, a z przodu spina się końce kokardą koronkową. Kokardy ze wstążki w atłasie 15 i 6 cent. szerokiej.

N. 7. Kaftanik do rannego ubrania. Forma na arkuszu z krojami N. XIX, fig. 54—56a.

Do strojnego rannego ubrania, służy spódniczka z matowo białej surah i takiż kaftanik bogato ozdobiony koronką i plisami 6 cent. szerokiemi, z czerwonego pluszu; między przody dodana z muślinu nidyjskiego, część ułożona w fałdy. Kokardy ze wstążki 5 cent. szerokiej.

N. 11. Puf z dodaną na wierzchu poduszką ozdobioną aplikacyą.

Niżki puf trzymający 62 c. w kwadrat, ma równe, 27 c. wysokie boki pokryte najpierw gładko blado-niebieskim pluszem, na którym dana z wierzchu krata ze sznura jedwabnego, koloru vieil-or, ozdobiona pomponami. Rogi zwierzchniego wysłania pufa, nie zasłonięte poduszką, pokryte są pluszem niebieskim, z pod którego brzegów wygląda bufa z pluszu vieil-or, zakończona u dołu grubemi sznurami blado-niebieskiemi. Brzegi niebieskiego pluszu oszyte grubym sznurem sznelowym i ozdobione pomponami i kwastami. Jak widzimy na połowie deseniu, f. 62, poduszka nie jest zupełnie kwadratowa, lecz trochę dłuższa niż szersza, po wysłaniu ma 6 cent. wysokości, pokryta jest atłasem bordo, a bufa boczna z pluszu vieil-or. Do aplikacyi służyć może: atłas, brokatella, plusz lub aksamit, dobrany w stosownych do tła kolorach, np. białym, blado-niebieskim i vieil-or, na których cienie maluje się farbami, a żyłki haftuje ściegiem sznureczkowym, cienkim jedwabiem w cieniach do farb dobranych. Brzegi aplikacyi przymocowane są dowolnie używanym naprzemian ściegiem rzadkim dzierganym na podłożonej nitce złotej, ściegiem sznureczkowym, lub naszyte sznureczkiem jedwabnym; jedwab i sznureczek dobiera się w niebieskim i zielonym płowym kolorze. Tarcza i wijąca się wstęga powinny być szeroko i wypukle odznaczone, jak to deseń na fig. 62 wskazuje. Wązka torsadka w kolorze vieil-or i gruby sznur jedwabny otacza brzegi haftu.

N. 13—14. Paletocik z fałdowaną pelerynką dla małej dziewczynki. Krój podług ryc. 41 i 42 w N. 48 roku przeszłego.

Płaszczyk kraje się zwykłą formą paletocikową; pelerynkę z dwóch części złożoną, układa się z prostego kawałka materyału, mającego 92 cent. długości, a 27 szerokości; tylne brzegi przystębnowane są do pleców paletocika, w górze 3 u dołu 6 cent. od szwu środkowego. Górne brzegi pelerynki trzeba podług wykroju paletocika sfałdować, wszyć w listewkę i przyszyć do paletocika, z przodu tuż przy kołnierzu, a od ramion do środka pleców, odsunąć trochę kolisto do 2 cent. od wykroju; zaprasowane fałdy puścić luźno do dołu.

N. 21—26. Próbki wstawek i koronek szydełkowych, robionych przy torsadkach lub różnych tasiemeczkach.

Próbki 21, 22, 25 i 26 są tak łatwe, iż nie potrzebują opisu, tylko ryc. 23 i 24 wymaga krótkiego objaśnienia. Zaczyna ją się i zakończa ząbkami z plecionki; w rzędzie pierwszym jedne ścisłe ocz. w ząbek, jedne długo wyciągnięte ocz. luźno, jedne ocz. ścisłe zajęte za spodnią nitkę luźnego oczka, jeszcze jedne długo wyciągnięte ocz. luźne, jedna pentelka zajęta za spodnią część ocz. luźnego, jedne ocz. ścisłe w ząbek tasiemeczki przerobione, razem z obu zatrzymanemi na szydełku oczkami, powtarzać od gwiazdki. Rząd ten powtarza się tam i napowrót, w następnych obrobieniach aż do żądanej szerokości wstawki, tylko zamiast do tasiemeczki oba długie oczka przyrabiają się do dwóch ścisłych oczek poprzedzającego rzędu, zajmując obie nitki tych oczek. Do ostatniego rzędu przyrabia się ząbki z plecionki, obrobione w górze łańcuszkiem szydełkowym.



N. 1—2. Ubrania spacerowe.

N. 1. Suknia ze stanikiem à panier. Pazrz ryc. 10. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—10. N. 2. Płaszczyk z chusteczką koronkową. Patrz ryc. 9. Krój na arkuszu N. II, fig. 11—13.

N. 32. Ubranie spacerowe dla młodej panienki.

Do bronzowej pluszowej spódniczki, krótkie vêtement z przodu fartuszkowo podpięte, z tyłu krótką draperyą dopełnione, zrobione było z bronzowego kaszmiru. Plastron przemarszczany z piaskowego atłasu, u dołu bufiasto na fartuszkowe podpięcie spuszczony, dochodzi równie długo jak boczne zapięcie przodów. Kokardy ze wstążki w atłasie 5 cent. szerokiej. Kołnierz i kapelusz pluszowy atłasową wstążką ubrany, dopełniają spacerowe ubranie.

N. 33—34. Ubranie ranne. Krój N. XXIII, fig. 60—61.

Negliż ten składa się z fałdowanej spódnicy z małym trenem i z bluzki bufiasto na nią spuszczonej, w pasie wstążką przewiązanej, którą podług modelu i miar fig. 60, robi się z dwóch prostych brytów materyału, zeszytych ze sobą w środku pleców. Bluzka jest bez szwów na ramionach, a formę nadaje przemarszczenie w pasie i w górze; pod to ostatnie daje się mały karczek z podszewki. Na rękawy wycina się wskazane otwory. Formę bluzce przy marszczeniu, nadaje się podług przyłożonej formy stanika. Długie obszerne rękawy kraje się w jednej sztuce, bez szwu na łokciu. Na fig. 61 dajemy model i miary dwóch części draperyi, gładko na spódnicę spuszczonych, przyszytych w ten sposób, iż widać suto sfałdowaną tylną część spódnicy i przód w zakładki zaplisowany. Model odrobiony był z kaszmiru, a przybrany koronką i plisami, te ostatnie mogą być z aksamitu lub atłasu.

N. 36—37. Suknia ze stanikiem z baskiną. Krój N. XII, fig. 33—38.

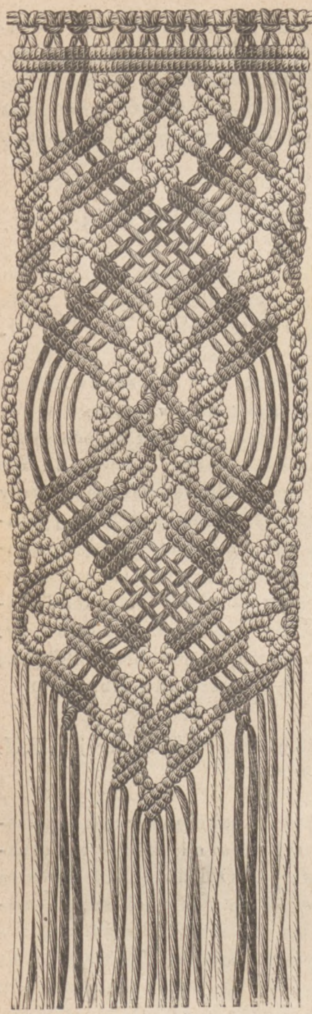
Ryc. 36 przedstawia z przodu suknię czarną kaszmirową, a na ryc. 37 podajemy tył sukni odrobionej takim samym fasonem z czarnej materyi. Obiedwie ozdobione są haftem maszynowym, robionym na takim jak suknia materyale. Na ryc. 36 spódnica w około fałdowana, ozdobiona jest od spodu przyszytą haftowaną falbanką, a na ryc. 37 bufą. Na formie przodu fig. 33, oznaczona jest linijkami szerokość plisowanej części, pod którą zapina się stanik na kryte haftki. Na fig. 38 dajemy model przedniej draperyi, krótkie upięcie z tyłu jest z bryta prostego, szeroka szarfa morowa. Pelerynkę aksamitną lub pluszową z brzegów przednich zaszywa się w dwie duże fałdy i zapina na haftki pod kokardą.

N. 38. Negliż (matinée) z batystu.

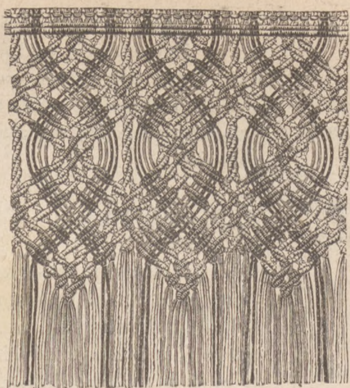
Zarówno krótka spódniczka jak i wcinany do figury kaftanik batystowy, są całe w drobne fałdy plisowane. Ażeby kaftanik leżał gładko i był dopasowany do figury, trzeba fałdki dobrze zaprasować, na wcięciu w pasie parę razy przestębnować, wyżej gdzie potrzeba, wązką cienką tasiemką od spodu podszyć, a od pasa do dołu zaprasowane wolno puścić. Na modelu długość spódnicy dopełniał szeroki plisowany wolant, od spodu przyszyty. Rękawy za łokieć, całe plisowane kokardą ozdobione, kraje się w jednym ciągu z przestębnowanym wolantem. Przody kaftanika zapinają się pod wachlarzowym garnirunkiem z koronki, ozdobionym kokardami z wstążki.

N. 39. Negliż zwany „Saut de lit".

Kraje się podług luźno wciętej formy princesse; przody zapinają się z boku kokardami. Kontrafałdy zdobiące środek przodu, daje się tylko przy szlafroczkach flanelkowych, do cienkich i miękkich wyrobów wełnianych lub do fularu byłyby niewłaściwe. Przyozdobienie stanowią wązkie plisowania z atłasu.



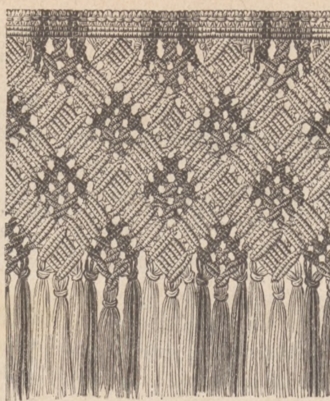
N. 3. Torsada robotą wiązaną (macramé). Patrz r. 29.



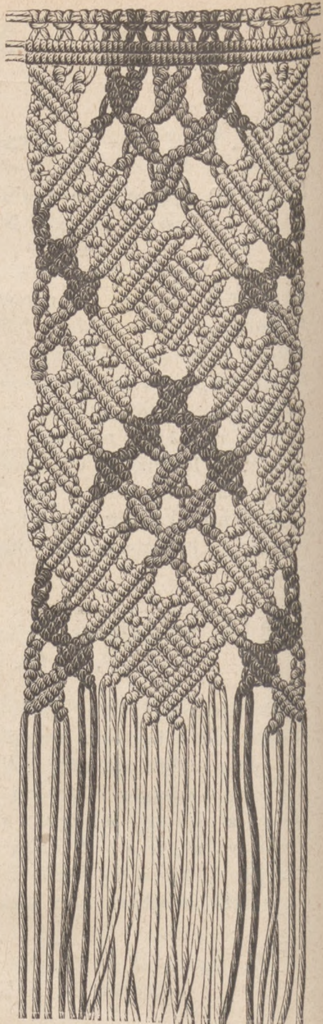
N. 4. Frendzla wiązana (macramé). Wielkość naturalna. Patrz ryc. 3.



N. 7. Kaftanik do rannego ubrania. Krój na arkuszu N. XIX, fig. 54—56a.



N. 5. Frendzla (macramé). Patrz ryc. 6.



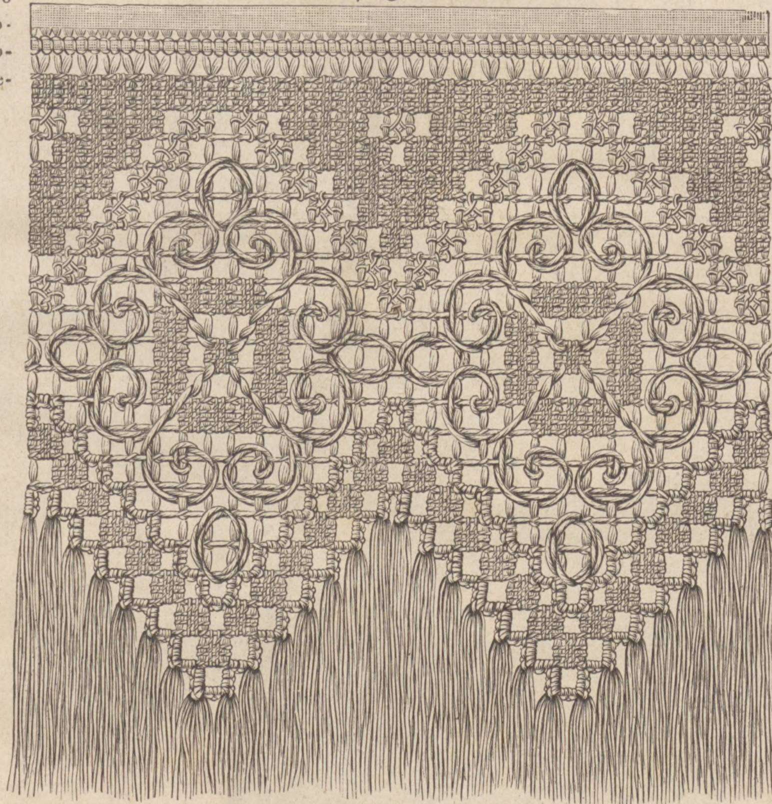
N. 6. Torsada robotą wiązaną (macrame).

O bieliźnie.

Chociaż moda nie może tak często i wszechwładnie zmieniać kroju bielizny, jak zmienia fasony kapeluszy lub sukien, i tu jednak ciągle wprowadza nowości i odmiany, z któremi obeznać musimy nasze Czytelniczki. Nowości te głównie polegają na przepychu ozdob i wykończenia, oraz na bogactwie materyałów. Oprócz dotąd używanych, w zakres materyałów wchodzą obecnie materye jedwabne zwłaszcza miękkie i dobrze przylegające wyroby, jak surah i t. p., z których nietylko negliżowe spódniczki i kaftaniki, lecz nawet koszule dzienne i nocne, oraz majtki są robione. Najmodniejsza jest surah w kolorze kremowym lub ivoire, jednak używane są także kolory: blado-rożowy, lila i blado-niebieski. Do takiej bielizny nie używa się wiele ozdób, zwykle oszywa się wykroj szyi i rękawków lekko nadmarszczoną koronką, do której co najwięcej dodaje się wstawkę i bufki z surah; prać jej nie można zwykłym sposobem, lecz daje się do chemicznego oczyszczenia.

Jak to widzimy na modelach podanych w N. 15, formy karczków przy koszulach dziennych, i ozdoby przodów przy nocnych są prawie takie same jak w roku przeszłym, tylko tak ulubione przy sukniach przemarszczania, są także przy wszelkiej bieliźnie używane. Na karczki do koszul, wszywki do spódnic i majtek w miejsce koronek i haftowanych wstawek, służy także robota szydełkowa z rozmaitemi rodzajami mignardisse lub tasiemeczek koronkowych. Pod negliżowe ubrania w miejsce koszul nocnych noszą damy kaftaniczki luźno wcięte skromnie przyozdobione. Do ubierania się zarzucają także kaftaniczki z cienkiej różowej lub niebieskiej flanelki, z małemi kieszonkami, ozdobione pliskami z atłasu lub przemarszczaniem z surah i oszyte koronką.

Kaftaniki i spódniczki z surah służą do negliżowego ubrania, w którem nawet przyjmować można bliskich znajomych. Do takich negliży najbogatsze ozdoby są używane; służy do nich plusz, brokatella, haft maszynowy, weneckie jedwabne żółtawe koronki, haft na materyi kolorowemi jedwabiami, a nawet złotem i srebrem. Koronki, wstawki szmizetkowe z indyjskiego muślinu, kokardy ze wstążek nie mogą być pominięte.



N. 8. Koronka z kratek wiązanych, zakończona frendzlą, do ręcznika ryc. 8 i 10 w N-rze 15.



N. 9. Płaszczyk z chusteczką koronkową. Patrz ryc. 2.



N. 11. Puf z dodaną na wierzchu poduszką. Deseń na arkuszu fig. 62.



N. 10. Suknia ze stanikiem à panier. Patrz ryc. 1.

Opis do N-ru 15.

N. 1. Szlak haftem mauretańskim do serwet, wałków i t. p.

N. 2. Fartuszek z fałdami.

Na fałdowane boki fartuszka u góry po 12, u dołu 20 cent. szerokie, potrzeba prostych kawałków materyału po 35 cent. szerokich, 64 długich, gładka zaś część środkowa jest u góry 10 u dołu 28 cent. szeroka a 63 długa. Koronka do bocznych części przyszyta gładko i sfałdowana wraz z niemi, przy środkowej zaś układa się w fałdy i przystębnowywa czterema pliskami, po 2 cent. szerokiemi; zachodzącemi na siebie. Napierśnik zastębnowany w fałdy, dopełniony jest z boków patkami 24 cent. długiemi, oszytemi hafcikiem 3 cent. szerokim.



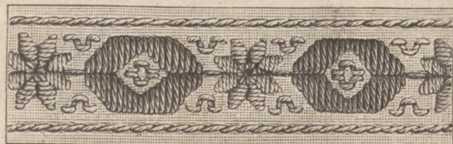
N. 13. Paletocik z fałdowaną pelerynką dla małej dziewczynki. Patrz r. 14.

N. 3. Fartuszek haftowany.

Haftowany środek fartuszka kraje się w jednym ciągu z napiersnikiem; zamiast jednostajnego haftu można naszyć rzędami falbanki haftowane, zachodzące na siebie. Boki dodają się gładkie; u dołu plisowanie 10 cent. szerokie.



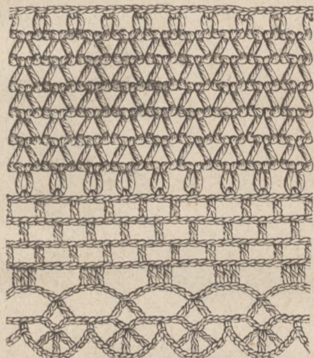
N. 15. Żabot z niebieskiej surah z koronką złotą ze sznelą.



N. 19. Szlaczek haftem płaskim.

N. 4—5. Paletocik weiniany dla młodej osoby. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 39—43.

Ryc. 4 i 5 przedstawia przód i plecy paletocika z odmiennego materyału; na ryc. 4 widzimy paletocik bez żadnego przybrania, uszyty z materyi deseniowej, zaś ryc. 5 podaje model czarny aksamitny przybrany czarną koronką; kokarda ze wstążki atłasowej. Podszewka ponsowa jedwabna.



N. 22. Koronka szydełkowa z torsadką.



N. 17. Część karczka do koszuli ryc. 28 w N. 15. Patrz ryc. 18.

N. 12. Haft „Richelieu" do kołnierzyka ryc. 25 w N-rze 15.

wszywka $2\frac{1}{2}$ c. szeroka (przystębnowana pliseczką w miejscu oznaczonem linją prostą na fig. 50) i koronka 3 c. szeroka, dana w dalszym ciągu w około pachy. Bardzo głęboki przedni wykrój dopełniony wszywką i koronką podług fig. 51. Do zapięcia na ramionach dane oddzielne patki, a odpowiednie guziczki przyszyte są do koszuli.



N. 14. Paletocik z fałdowaną pelerynką. Patrz r. 13.

N. 16 i 32. Koszula dzienna z okrągłym wykrojem. Krój na arkuszu N. VI, fig. 22.

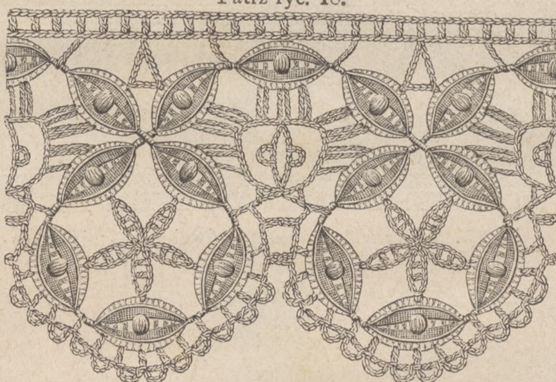
Dogodna jest szczególniej dla osób dobrej tuszy, gdyż przyciąga się odpowiednio do figury, na kolorową jedwabną wstążeczkę; ryc. 52 daje wzór szlaczku z dziurkami do przewleczenia wstążeczki.



N. 16. Żabot z muślinu indyjskiego i koronki.

N. 17. Koszula dzienna zapinana na ramionach. Krój na arkuszu N. VII, fig. 23; deseń fig. 64 do 68.

Uszycie nie wymaga żadnego opisu; zupełnie gładki stan koszuli wycięty jest z tyłu mniej, z przodu głębiej jak to widać na ryc. 17.



N. 21. Koronka szydełkowa z tasiemeczką koronkową.

N. 20. Szlaczek haftem płaskim.

N. 23. Wszywka szydełkowa. Patrz ryc. 24.

N. 18. Koszula dzienna z przemarszczeniem. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 49.

Szerokość przedniej połowy stanu przemarszczana jest kilkakrotnie od gwiazdki do dwukropka, zaś przymarszczona jest do 11 cent., na 3 cent. wzdłuż, z tyłu trochę do paska. W jaki sposób dana jest wszywka, objaśnia ryc. 18 i odznacza linja prosta na fig. 49.

N. 15. Koszula dzienna z prosto ściętym karczkiem. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 50—51.

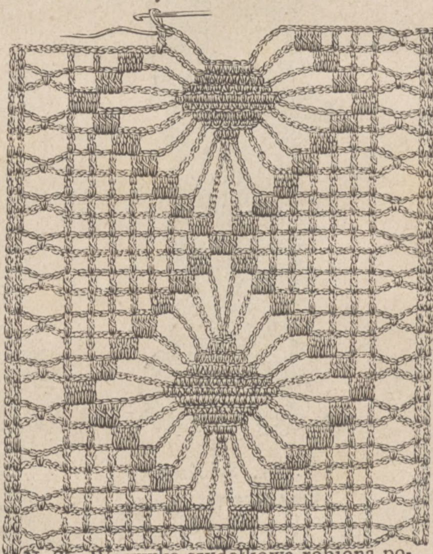
Górna szerokość stanu przy wykroju szyi w przodach zastębnowana jest w zakładki do 17 cent., a z tyłu zmarszczona do 38 c. Karczek stanowi



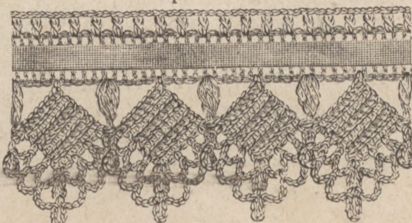
N. 18. Wykonanie listka do ryc. 17.



N. 27. Szlaczek do kołnierzyka ryc. 38 w N-rze 15.



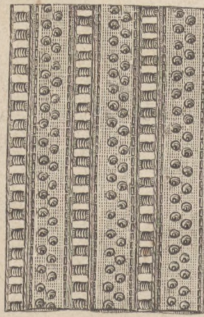
N. 25. Wszywka szydełkowa robiona poprzecznie.



N. 26. Ząbki szydełkowe.

N. 19. Koszula dzienna z wąskiemi ramiączkami. Krój na arkuszu N. VII, fig. 23.

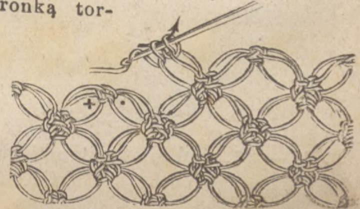
Krój koszuli jest taki sam jak do ryc. 17, a małą zmianę w wykroju szyi odznacza linja prosta na fig. 23. Koszula ta uszyta z materyi surah, ma wykrój szyi i pachy oszyte koronką tor-



N. 28. Szlaczek do kołnierzyka ryc. 40 w N-rze 15.



N. 29. Przyrobienie nowej nitki w robocie wiązanej ryc. 3—6 w N. 14.



N. 24. Wykonanie wstawki szydełkowej ryc. 23.



N. 30. Kapelusz z bronzowej hiszpańskiej koronki i takiejże wstążki, zdobny kwiatami z piór.

chon 11 c. szeroką, przewleczoną kolorową wstążką.

N. 21. Spódniczka flanelowa. Krój i deseń na arkuszu N. XI, f. 29. do 30.

Figura 29 wskazuje w maleńkim formacie krój spódniczki z niebieskiej flanelki, zakończonej u dołu mało naddaną haftowaną falbaną, 13 cent. szeroką. Brzeg spódniczki podszyty jest flanelą i przestębnowany kilkakrotnie.

N. 22—23. Koszula nocna z zakładkami i fałdami. Krój na arkuszu N. V, fig. 19—21.

Po przecięciu z przodu rozporka 47 cent. długiego, z każdej strony w odstępach 2 c. od brzegu zastębnowane są zakładki $1/2$ cent. szerokie, dane na przestrzeni 8 cent. Tylna połowa stanu zakłada się podług krzyżyków i kropek w trzy szerokie kontrafałdy, zastębnowane tylko na 18 do 20 cent. wzdłuż. Rękawy u góry i u dołu są również przeszyte w zakładki, przy złożeniu rękawa na zgięciu ręki dane są dwie małe fałdki. Na wykładany kołnierz wszyty w paseczek 2 cent. szeroki, potrzeba prostego kawałka 5 c. szerokiego, 100 cent. długiego, który zastębnowany jest do połowy w drobniutkie zakładki i oszyty koronką. W rękawach i w kołnierzu w odstępach $2^1/_2$ c. dane są przecięcia po 2 c. długie, w które nawłóczy się wstążka 3 cent. szeroka. Koronka 7 cent. szeroka zdobi kołnierz, rękawy i wachlarzowo fałdowana idzie dwoma rzędami wzdłuż przodów.



N. 32. Ubranie spacerowe dla dziewczynki.

N. 33. Szlafroczek kaszmirowy. Patrz r. 34. Krój na arkuszu N. XXIII, fig. 60—61.

N. 31. Kapelusz z czarnego tiulu i hiszpańskiej koronki.

N. 24. Kaftanik flanelowy.

Może być dopasowany podług kroju do ryc. 7 w N. 14, formą puszczoną z przodu, a wciętą z tyłu i zapinany w całej długości z boku; przybranie stanowi koronka 7 c. szeroka i wstążka atłasowa. *(D. n.)*



N. 35. Szlaczek haftowany jedwabiami i nitką złotą na atłasie.



N. 36—37. Suknia ze stanikiem z baskiną. Krój na arkuszu N. XII, fig. 33—38.



N. 34. Szlafroczek kaszmirowy. Patrz ryc. 33.



N. 38. Negliż (matinée) batystowy.

N. 39. Negliż zwany „saut de lit".

Dodatek z krojami i deseniami do N. 14 i 15.

N. XII. Stanik i draperya do sukni. Ryc. 36—37 w N-rze 14.

Miara objętości przez połowę: 44 cent. w gorsie, 27 w pasie.

Fig. 33. Przód z oznaczeniem części fałdowanej (A, B, E, F, G,)
Fig. 34. Boczek (A, B, C, D) ○○○○
Fig. 35. Połowa pleców (C, D, E, F) — * — * —
Fig. 36. Rękaw (G, H, I, K, *, :)
Fig. 37. Połowa mankietu (*, :)
Fig. 38. Wskazanie kroju przedniej draperyi.

N. XIII. Paletocik wcinany dla młodej panienki. Ryc. 4 i 5 w N-rz. 15.

Miara objętości przez połowę 46 cent. w gorsie.

Fig. 39. Połowa przodu (L, R, S, T, X)
Fig. 40. Boczek (L, M, N, O) • • • • •
Fig. 41. Połowa pleców (M, N, O, P, Q, R, S, × 1 i · 1)
Fig. 42. Rękaw (T, U, V, W)
Fig. 43. Połowa kołnierza (P, X)

Fig. 39a—42a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 39—42.

N. XIV. Majtki zapięte z boku. Ryc. 33 w N-rz 15.

Fig. 44. Połowa majtek (a, b, c, d, e, f, g, h) 1 założenie formy
Fig. 45. Połowa paska (c, g)

N. XV. Koszula nocna z przemarszczeniem. Ryc. 53 i 54 w N-rze 15.

Fig. 46. Połowa przedniej części stanu (i, k, l, m, *, +)
Fig. 47. Połowa tylnej części stanu (i, k, l, :)
Fig. 48. Połowa rękawa (m, n) × • × • × •

N. XIV. Koszula dzienna z przemarszczaniem. Ryc. 18 w N. 15.

Fig. 49. Połowa stanu (o, p, q, *, :)

N. XVII. Koszula dzienna z prostym plastronem. Ryc. 15 w N-rze 15.

Fig. 50. Połowa stanu (r, s, t, u, *, :) — × — × —
Fig. 51. Połowa plastronu (s, t, u) + + + + +

N. XVIII. Koszula dzienna ze szmizetkowym karczkiem. Ryc. 20 w N-rze 15.

Fig. 52. Połowa stanu (v, w, x, *, :)
Fig. 53. Połowa karczka szmizetkowego (w, x) * * *

N. XIX. Kaftanik ranny z fałdowaniem. Ryc. 7 w N-rze 15.

Fig. 54. Część fałdowana (1, 2) 1 założenie
Fig. 55. Połowa przodu (1, 2, 3, 4, 5, *)
Fig. 56. Połowa pleców (3, 4, 5)
Odpowiedni rękaw patrz fig. 42.

Fig. 54a—56a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 54—56.

N. XX. Denko do czepeczka neglижowego ryc. 37, 45 i 75 w N-rze 15.

Fig. 57. Połowa denka + • + •

N. XXI. Spódnica z turniurą. Ryc. 49—50 w N-rze 15.

Fig. 58. Wskazanie kroju połowy spódnicy: *a* połowa przodu, *b* klin boczny, *c* bryt tylny, *d* pasek, *e* turniura.

N. XXII. Penioar. Ryc. 58—59.

Fig. 59. Krój penioaru: *a* połowa przodu (6, 7, 10, 11), *b* boczek (6, 7, 8, 9, *), *c* połowa pleców (8, 9, 10, 11, :), *d* pelerynowe rękawy (10, 11, +, *).

N. XXIII. Negliż. Ryc. 109—110.

Fig. 60. Wskazanie kroju połowy bluzki.
Fig. 61. Wskazanie kroju połowy tuniki.

Desenia.

Fig. 62. Połowa desenia do ryc. 11 w N-rze 14.
Fig. 63. Haft „Richelieu" do ryc. 59 w N-rze 15.
Fig. 64—68. Pięć deseników na haft biały do bielizny.
Fig. 69. Szlak do woreczka ryc. 31 w N-rze 15.

TYGODNIK MÓD.

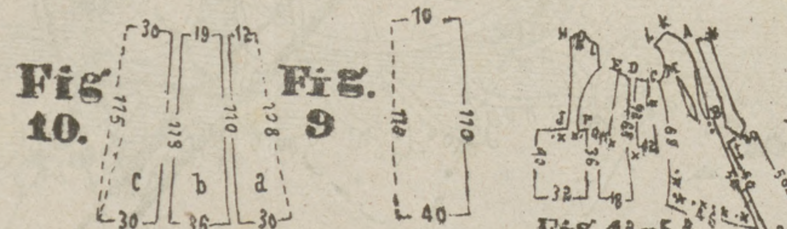
W Warszawie 1882 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 14 i 15.

N. I. Stanik z panier, spódnica i draperya do sukni ryc. 1 i 10 w N-rze 14.

Miara objętości przez połowę: 50 cent. w gorsie, 32 w pasie.

Fig. 1. Część kamizelkowa (A, B, *) —*—*—
Fig. 2. Połowa przodu (A, B, C, K, L, M, :, +) ▬▬▬
Fig. 3. Pierwszy boczek (C, D, +) ═○═○═
Fig. 4. Drugi boczek (D, E, F, G, × 1 i · 1) —•—
Fig. 5. Połowa pleców (E, F, G, H, I, K, L, × 2 i · 2 do × 3 i · 3) ⎍⎍
Fig. 6. Rękaw (M, N, O, P) ⨯ • ⨯ •
Fig. 7. Połowa mankieta (N, P) + + + +
Fig. 8. Połowa stojącego kołnierza (H, *) ∽∽∽



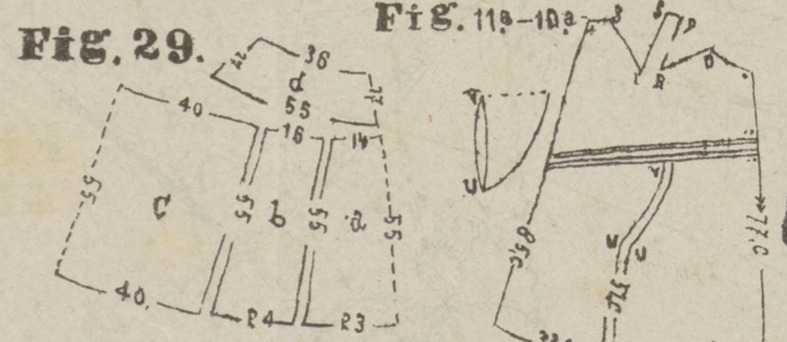


Fig. 1a—5a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 1—5.
Fig. 9. Połowa draperyi tylnej.
Fig. 10. Wskazanie kroju połowy sukni: *a* połowa przodu, *b* klin boczny, *c* połowa tylnego bryta.

N. II. Płaszczyk zdobny koronką. Ryc. 2 i 9 w N-rze 14.

Fig. 11. Połowa płaszczyka. Forma przecięta.
Fig. 11A. Górna część formy (Q, R, S, T, ·, +, :, *) ⨯⨯⨯
Fig. 11B. Dolna połowa formy (U, V, *, :) + • + • + •
Fig. 12. Część rękawa (U, V) — • — •
Fig. 13. Połowa paska do kołnierzyka (+, ·) ◡◠◡
Fig. 11a—12a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 11—12.

N. III. Kaftanik nocny z wciętemi plecami. Ryc. 51 w N. 15.

Fig. 14. Połowa przodu (W, X, Y, Z) ◆ ◆ ◆
Fig. 15. Połowa pleców (W, X, Y, Z) —○—○—
Fig. 16. Rękaw (Z, +, *, :) — - — - —

N. IV. Majtki z szerokim paskiem. Ryc. 34 w N-rze 15.

Fig. 17. Połowa majtek (a, b, c, d, e) i założenie formy ⨯ ⨯
Fig. 18. Połowa paska (c, e) ↔ ↔ ↔

N. V. Koszula nocna z zakładkami i fałdami. Ryc. 22—23 w N-rze 15.

Fig. 19. Połowa przedniej części stanu (f, g, h, i, +) ∿∿∿
Fig. 20. Połowa tylnej części stanu (f, g, h, × 4 i · 4 do × 6 i · 6) • • •
Fig. 21. Rękaw (i, k, *, :) ▬ ▬

N. VI Koszula dzienna z okrągłym wykrojem. Ryc. 16 i 52 w N-rze 15.

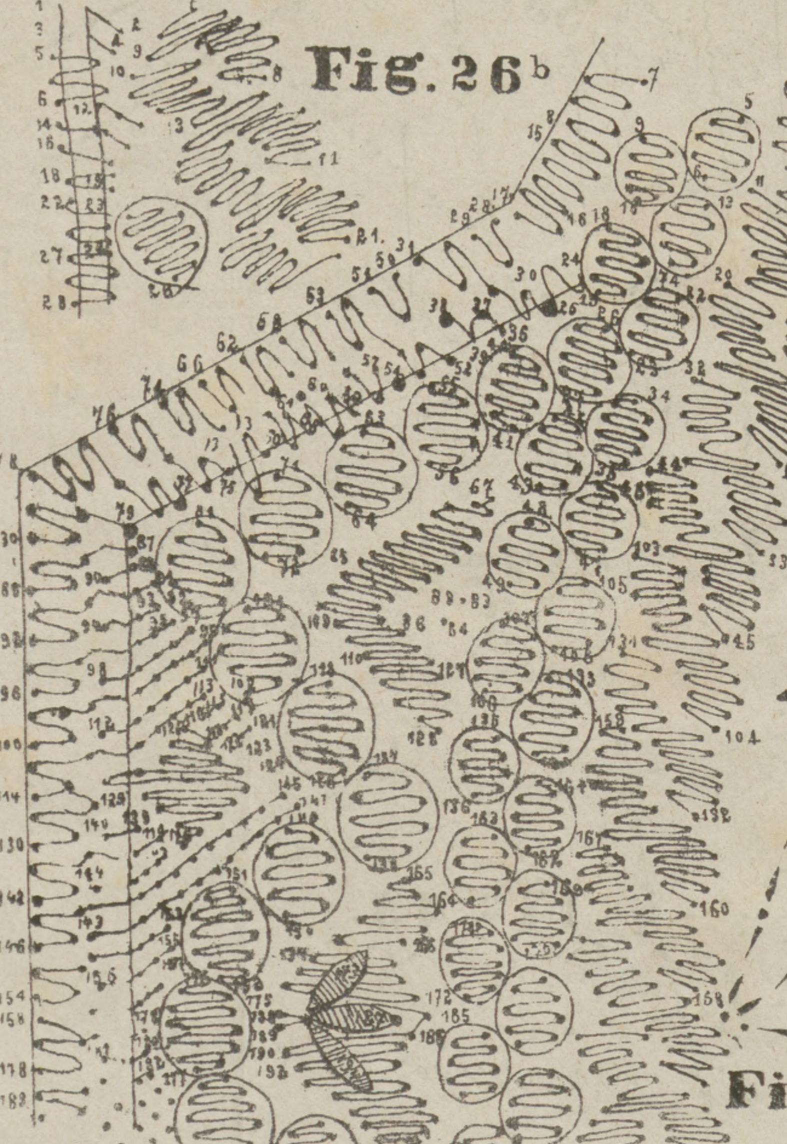
Fig. 22. Połowa stanu (l) ⊢⊣ ⊢⊣

N. VII. Koszula dzienna zapięta na ramionach. Ryc. 17 w N. 15.

Fig. 23. Połowa stanu (m) —×—×—

N. VIII. Napięcie desenia na koronkę ręczną niciana, na karczek do koszuli ryc. 28 w N-rze 15 i ryc. 17—18 w N-rze 14.

Fig. 24. Połowa karczka (*, :) ○ ○ ○
Fig. 25. Połowa rękawka (*, :) ✱ ✱ ✱
Fig. 26a. Napięcie szpilek na deseń karczka.
Fig. 26b. Napięcie szpilek na deseń do rękawków.



N. IX. Kołnierz prosto ścięty. Ryc. 38 w N-rze 15.

Fig. 27. Połowa kołnierza ·÷·

N. X. Kołnierz okrągły. Ryc. 40 w N-rze 15.

Fig. 28. Połowa kołnierza ◡◠◡

N. XI. Spódniczka flanelowa. Ryc. 21 w N-rze 15.

Fig. 29. Wskazanie kroju połowy spódniczki: *a* połowa przodu, *b* klin boczny, *c* połowa tylnego bryta, *d* połowa paska.
Fig. 30. Deseń na falbanę.

Desenie.

Fig. 31. Szlak z narożnikiem do ryc. 45.
Fig. 32. Dalszy ciąg haftu „Richelieu" do ryc. 25 w N-rze 15 i ryc. 12 w N-rze 14.

1 2 3 4 5 6 7 8 9 0